Opłata pocztowa opłacona gotówką.

20 CZERWCA
Nr. 25 Rok II.
WARSZAWA 1937

Podbipięta

GAZETA TYGODNIOWA

Cena numeru **30** groszy

Redakcja: B R A C K A 10 m. 16, tel, 9,66-93 czynna jest w dnie powszednie (prócz środy) w godzinach 10—11 i 16—18.
Administracja: CHMIELNA 9 m. 14, tel.: 6,88-92 — czynna jest w dnie powszednie w godz. 9—11 i 18—19 w soboty w godz. 9—12.
Prenumerata miesięczna z przesyłką pocztową 1 zł.
Konto P. K. O. Nr. 24545
Pocztowe konto rozrachunkowe Nr. 148.

Jan Rembieliński

NARZĘDZIE CZY PRZESZKODA

Przed kilku tygodniami, w artykule p.t. „Właśnie na epokę dzisiejszą..." wskazywałem jedną z przyczyn kryzysu ustrojów parlamentarnych w dobie obecnej, mianowicie fakt, że przy teraźniejszym rozwoju techniki, zarówno kontakt pomiędzy rządzącymi i rządzonymi, jak i wypowiadanie się woli zbiorowej tych ostatnich, można osiągać w sposób dokładniejszy, szybszy, i bardziej uproszczony, aniżeli za pośrednictwem wybieranych raz na kilka lat ciał przedstawicielskich. Wskazywałem, że w istniejącym układzie stosunków parlament bardzo łatwo może się stać czymś w mniejszym lub większym stopniu—zapóźnionym, wyrazem układu sił politycznych, poglądów i nastrojów nie tych, które panują aktualnie w społeczeństwach, ale sprzed paru lat lub przynajmniej miesięcy, z dnia w którym odbywały się wybory. W tym świetle też zrozumialsze mogą być próby wytwarzania jakichś nowych form demokracji bezpośredniej, tak charakterystyczne jako przejaw nie zawsze zresztą całkiem uświadomionych tendencyj ustrojowych naszej epoki.

Kto, jak piszący te słowa, miał sposobność zbliska i przez dłuższy czas przyglądać się życiu naszych sejmów (obserwowałem je codziennie przez lat kilka jako sprawozdawca parlamentarny „Gazety Warszawskiej")—musiał zauważyć zjawisko nader znamienne, ściśle potwierdzające wypowiedzianą wyżej tezę. Oto w pierwszych tygodniach, nawet w pierwszych miesiącach po wyborach posłowie byli jacyś żywsi, aktywniejsi, dyskusje w Izbie i w wewnętrznych naradach klubowych ciekawsze i bardziej twórcze, świadomość bliskiego jeszcze kontaktu z masami i odniesionych świeżo tryumfów wyborczych dawała „przedstawicielom Narodu" jakieś poczucie siły, a jednocześnie odpowiedzialności moralnej, jakąś większą niż zazwyczaj pewność siebie, chęć sprostania przyjętym obowiązkom, powagę. Ale w miarę jak oddalano się od tych pierwszych dni, żarliwość gasła, słabło poczucie związku parlamentu ze społeczeństwem, sejm jak gdyby odgradzał się, zamykał się w sobie, w wewnętrznych tylko, często już osobistych wyłącznie rozgrywkach i intrygach.

Sejm dzisiejszy jest o tyle w nieszczęśliwszym jeszcze położeniu, że nie dane mu było przeżyć radości nawet tych pierwszych, „miodowych" jak gdyby miesięcy. Sposób, w jaki dokonano doboru obecnych posłów, sprawił, że stawiali oni pierwsze swoje kroki na drodze parlamentarnej ze zrozumiałym całkiem uczuciem zażenowania i niepewności. Dzisiaj zaś, po dwu latach prawie, sejm ten nie jest już dla nas nawet obrazem dążeń i opinij społeczeństwa w momencie wyborów, ale jedynie odzwierciadleniem wpływów i poglądów ówczesnego prezesa Rady Ministrów, p. Sławka. Jest jakgdyby zakonserwowaniem w tej dziedzinie, mumifikacją systemu rządów z r. 1935.

Konkretna praktyka ustrojowa — jakże często odległa od teoryj! — doprowadziła do paradoksu, że funkcję kontroli nad rządem, jaką wykonywać ma parlament, powierzyła mężom zaufania nie tyle narodu, co jednego z poprzednich gabinetów ministerialnych. Gdyby system ten miał się utrwalić, wówczas rząd będący w chwili wyborów u władzy, miał by przywilej dobierania ciała kontrolującego—przez lat pięć—rządy następne, ułatwiającego im ich działalność lub ją utrudniającego.

Pragnę możliwie jasno sprecyzować swoje poglądy. Autorytet ciał przedstawicielskich w mniejszym stopniu zależy od systemu, według którego je wybrano, zaś przede wszystkim od osobistego składu tych ciał, od powagi i zaufania jakie umieli zaskarbić sobie w opinii ich członkowie. Nawet ciała powstałe całkiem bez wyborów, nawet samozwańcze uznaje nieraz ogół za swą reprezentację, jeśli w ich gronie widzi przedstawicieli różnych odłamów myśli politycznej, jeśli im wierzy iż odpowiedzą jego oczekiwaniom i dążeniom. Takie zespoły jak np. Polska Komisja Likwidacyjna w Krakowie w r 1918, albo Naczelna Rada Ludowa w Wielkopolsce w tymże czasie — to jedne z wielu — zwłaszcza w naszej historii częstych — tego przykładów. Gdy w ciałach przedstawicielskich spostrzega społeczeństwo wyrazicieli poglądów swych nie dawniejszych, lecz aktualnych, kiedy w nich widzi ludzi żywych, kroczących razem z nim, a nawet na jego czele — wówczas nie pyta się o datę ani o sposób ich wyboru, potwierdza wybór ten jak gdyby codziennym plebiscytem solidaryzowania się wewnętrznego z ich działalnością.

Otóż skład obecnego Sejmu tej powagi nie zapewnił mu i nie zapewni. Niewątpliwie, nie brak w nim ludzi dobrej woli, doświadczenie dwu lat wykazało jednak aż nadto wyraźnie, że nie jest on zdolny do wytyczania jakichś nowych dróg, do organizowania wokół siebie, czy wokół poszczególnych grup z których się składa, jakichś twórczych, żywotnych prądów opinii, zapowiadających wydobycie się z dzisiejszego kryzysu. Nie przeżywszy nawet owych pierwszych, „miodowych" miesięcy kontaktu z opinią publiczną bezpośrednio po wyborach, jest dzisiaj w całym tego słowa znaczeniu sejmem „starym", całkowicie oddzielonym od społeczeństwa, oddanym wyłącznie wewnętrznym, personalnym przede wszystkim, kombinacjom i rozgrywkom.

W szczególności zaś Sejm dzisiejszy jest nie użyteczny, jeżeli chodzi o najważniejsze zadanie chwili, o zagadnienie konsolidacji politycznej narodu. Ani twórca Sejmu tego, b. premier Sławek nie podejrzewał bodaj nawet możliwości pojawienia się kiedykolwiek takiej potrzeby, ani dobór posłów, tak jednostronny, jeśli chodzi o ich przynależność grupową, tak przy tym „apolityczny", nie stwarza żadnych absolutnie możliwości podejmowania akcji konsolidacyjnej na terenie parlamentarnym. Istotnie też, wszystkie inicjatywy w tym kierunku, których dotąd byliśmy świadkami, pojawiały się zawsze spoza Sejmu i bez jego jakiegokolwiek współudziału. Poza Sejmem powstał obóz płk. Koca, poza Sejmem — i bez jego członków najczęściej — toczyły się i toczą „długie, nocne rodaków rozmowy"... Gdy czynniki kierownicze w państwie szukają zetknięcia się ze społeczeństwem, gdy chcą zapoznać się z prawdziwymi jego postulatami i nastrojami, więcej im powie... komersz korporacyj studenckich, niż oficjalny głos przedstawicielstwa narodowego z ul. Wiejskiej.

Ale dla tego właśnie, że nie może być w najmniejszej mierze jej narzędziem, Sejm staje się główną p r z e s z k o d ą w akcji konsolidacyjnej, przeszkodą w tym znaczeniu, w jakim jest nią dla lekarza nie wygotowanie instrumentu, niezbędnego dla dokonania operacji. Trzeba co rychlej instrument doprowadzić do stanu używalności, nie usiłować obchodzić się bez niego, pozwalając by leżał bezużytecznie i... zawadzał.

To też z prawdziwą radością powitać trzeba uchwały ostatniego lwowskiego zjazdu „Zarzewia" (13. VI. r. b.), gdzie wysuwając postulat zjednoczenia narodu i „przekreślenia przebrzmiałych linij podziału", wskazując nadto na szkodliwość tajnych związków i konieczność wytworzenia warunków dla ich likwidacji, wyraźnie całkiem postawiono również sprawę Sejmu, mianowicie zmiany jego ordynacji wyborczej, aby uczynić zeń dogodne narzędzie konsolidacji narodowej, nie zaś, jak dotąd, poważną na tej drodze przeszkodę. Wybitne stanowiska, jakie od dwudziestu lat zgóry, wielu dawnych "Zarzewiaków" zajmuje w politycznym życiu Polski, fakt, że i w ostatnim zjeździe lwowskim uczestniczyli dwaj członkowie rządu (wicepremier Kwiatkowski i min. Ulrych) unaoczniają doniosłość praktyczną powziętych tam rezolucyj.

W każdym razie zaś staje się jasne, iż przechodząc do konkretnego urzeczywistniania programu zgody, nie można dłużej już pomijać zagadnienia Sejmu, być zwolennikiem beznadziejnego na tym odcinku — „status quo". W tej dziedzinie konieczne jest powzięcie decyzji — śmiałej, szybkiej, ale gruntownie przemyślanej.

W Hiszpanii bez zmian...



Charakterystyczna rycina z francuskiego wydawnictwa humorystycznego z połowy ubiegłego stulecia, pt. „Nouveaux voyages et nouvelles impressions litographiques, philosophiques et comiques de M. M. Trottman et Cham", przedstawiającego szeregu komicznych obrazków, obyczaje poszczególnych narodów.

Karykatura nosi tytuł: „Widok ogólny Hiszpanii".

JAPONIA NA NOWEJ DRODZE

Polityka japońska, jest niesłychanie ważnym fragmentem całości politycznego życia świata. I my, nie mając specjalnych interesów w Azji, musimy, choćby wskutek sąsiedztwa z Rosją bacznie śledzić życie Japonii.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że cały ostatni konflikt między rządem gen. Hayaszi a parlamentem i narodem był raczej oparty na zewnętrznych różnicach, a nie na istotnym nieporozumieniu. Cała Japonia ożywiona jest ideałami narodowymi i duchem ekspansji, to też, jeśli zarysowują się tam różnice zdań, odnoszą się one raczej do metod, którymi winna się ona kierować.

STRONNICTWA POLITYCZNE W JAPONII

Największe partie japońskie — konserwatywna Seiyukai i liberalna Minsuito — reprezentujące interesy przemysłu i kapitału, na którego czele w Japonii stoją rodziny Mitsui i Mitsubiszi, mają za cel, prócz obrony pewnego, na europejskich poglądach wzorowanego liberalnego konserwatyzmu, także i ekonomiczny imperializm Japonii w Azji.

Grono wyższych wojskowych, opierających się na konserwatystach i rządowej partii Szowakai, pragnie prowadzić państwo do panazjatyzmu poprzez oparcie się na projektowanej jedynej partii narodowej, mającej powstać i zastąpić grupy istniejące obecnie.

Trzecim wielkim ruchem jest radykalny obóz, opierający się na programie narodowo-socjalistycznym i szerokich warstwach rolniczych. Z tym ostatnim ruchem sympatyzują młodzi oficerowie, żądający agresywnej polityki zewnętrznej i daleko posuniętych reform wewnętrznych wzorowanych na doświadczeniach hitleryzmu.

W tych warunkach, pomimo, że wszystkie te prądy oparte są na podstawach nacjonalistycznych i zewnętrznej polityki ekspansji, musiałoby dojść do konfliktu na tle spraw wewnętrznych państwa i metod działania w wypadku, gdyby się nie osiągnęło „zgody narodowej".

Obecnie wpływ starych wojskowych w kraju jest mały, ale w razie możliwości wojennych — wzrośnie. Wojskowi, czekając na dogodną chwilę, udzielą na razie swego poparcia każdemu koalicyjnemu rządowi.

NIEPOWODZENIA HIROTY I HAJASZI

Zasadniczo więc walka wewnętrzna rozgrywa się między narodowcami radykalnymi a konserwatywnymi. W tej sytuacji po zamachu młodych oficerów w dn. 26 lutego 1936 r., kiedy to zginął adm. Saito i Takahaszi, ani Hirota, kierujący rządem do stycznia b. r., ani następnie gen. Hajaszi nie mogli przeprowadzić konsolidacji narodowej.

Hajaszi naraził się liberałom przez rozwiązanie Izby Niższej, zakusy dyktatorskie i ekonomiczną, rządową interwencję. Radykalnym zaś elementom przez niedość narodowo-socjalistyczną politykę, ukrócenie samowoli młodych oficerów i przez ministra spraw zagranicznych Sato, który dążył do poprawienia stosunków z Rosją i Chinami.

Gen. Hayaszi w imię pogodzenia narodowego chciał osłabić za wszelką cenę potężne stronnictwa parlamentarne i stworzyć jedyną partię rządową. Było to zgodne ze stanowiskiem starszych oficerów i może uwieńczone byłoby powodzeniem, gdyby nie źle pomyślana walka z parlamentem, która nie tylko nie doprowadziła do pokonania w wyborach partyj Seiyukai i Minsuito przez nacisk administracyjny, ale odwrotnie zwiększyła siły tych stronnictw.

Po przegranych wyborach, gen. Hajaszi nie poddał się, tłumacząc, że partie nie odzwierciadlają nastrojów narodu.

Wydawało się, że Japonia idzie do dyktatury, jednak powszechne niezadowolenie i głosy polityków zmusiły rząd do ustąpienia, stało się bowiem widoczne, że konsolidacja narodowa w tych warunkach nie może być uzyskana.

Do powyższych powodów ustąpienia gen. Hajaszi doszedł nacisk oficerów, niezadowolonych między innymi z niedostatecznych w ich pojęciu zbrojeń.

Przeciwko gabinetowi Hajaszi wypowiedział się nawet leader rządowej partii Szowakai.

RZĄD KS. KONOYE

Po podaniu się rządu do dymisji, cesarz Japonii, zasięgnąwszy rady u ks. Sajondżi, powierzył w dn. 1 czerwca b. r. formowanie gabinetu ks. Konoye. Książę Sajondżi ma ogromną sympatię do dawnego swego sekretarza ks. Konoye, który, jako młody człowiek, pod wrażeniem Tołstoja chciał zrzec się tytułu i zejść do ludu.



Książę Konoye

Liczący dziś 46 lat ks. Konoye jest wytrawnym politykiem, przewodniczącym Izby Panów i cieszącym się wielką popularnością wśród polityków oraz zaufaniem i miłością wśród ludu, pochodzi bowiem według legendy od boga Konoye-No-Mikoto.

Dwa razy już ofiarowywano mu godność premiera — w lutym 1936 r. i w styczniu b. r., — ale w obu wypadkach odmówił.

Stworzył on dziś rząd narodowy, mając poparcie sfer starszych wojskowych, dla których zjednania pozostawił w rękach dotychczasowych kierowników, gen. Sugiyamy i adm. Yonei, ministerstwa wojny i marynarki, oraz wprowadził wicepremiera i ministra spr. wewn. Eichi Baba, ulegającego wpływom armii.

Ministrem spr. zagr. został dawny premier Hirota, który uchodzi za autora porozumienia niemiecko-japońskiego i i zwolennika silnej polityki w Chinach, a dzięki temu cieszy się sympatią młodych oficerów i elementów radykalno-narodowych.

Wśród dalszych ministrów partie parlamentarne i koła finansowe spotkać mogą mile dla siebie brzmiące nazwiska, to też i one popierają nowy rząd. Jest więc możliwe zjednoczenie narodowe, a to, jak twierdzi jedna z gazet paryskich, „odpowiada życzeniu narodu i życzeniu Cesarza, co jest niesłychanie ważne, ponieważ Mikado cieszy się w Japonii nieograniczonym autorytetem i szacunkiem".

Jeśli chodzi o głosy japońskie o rządzie ks. Konoye, to pierwsze z nich były przychylne i określały nowy gabinet, jako prawdziwie narodowy-koalicyjny, dziś jednak zaczynają się zjawiać zastrzeżenia, i obawy czy ks. Konoye nie zechce stworzyć nowej partii rządowej.

Gazeta „Nisi-Nisi" wyraża przypuszczenie, że zostanie przeprowadzona reforma prawa wyborczego i nastąpi odroczenie sesji parlamentarnej do grudnia b. r.

Wśród kół militarnych mówią o bardziej agresywnej polityce w stosunku do Chin i o większej politycznej stanowczości w odniesieniu do Rosji. To też w bolszewickich „Izwiestiach" (z dn. 6 b. m.) czytamy:

— Nowy rząd japoński, jest koncentracją sił reakcyjnych.

Z tych słów widoczne jest niezadowolenie Moskwy, które najdobitniej stwierdza, że Japonia weszła istotnie na drogę zgody narodowej.

P.



SŁUCHAĆ HADKO!!

„Prosto z mostu", czyniąc aluzję do niedawnej napaści na redaktora „ABC" dr. Tadeusza Gluzińskiego, postanowiło wystąpić w roli moralizatora. Śpieszy się z potępieniem „niedopuszczalnych wystąpień czynnych wewnątrz obozu narodowego". „Kto ma z tego" — pisze — „uciechę największą — nie potrzeba dodawać. I co na tym ponosi szkody niepowetowane — także".

Jednym z wybitnych członków redakcji „Prosto z mostu" jest — jak wiadomo — p. Wojciech Wasiutyński, do niedawna, bo aż do dnia zamknięcia tego pisma, redaktor naczelny dziennika „Jutro", który podobne „wystąpienia czynne" i przez też same właśnie żywioły przedsiębrane, opisywał z wyraźną życzliwością i uznaniem. Czyż nie przyzwoiciej więc było albo inaczej dobrać zespół współpracowników „Prosto z mostu", albo przynajmniej zmilczeć i nie wysuwać się tak skwapliwie w pierwszy szereg w roli — mentora?

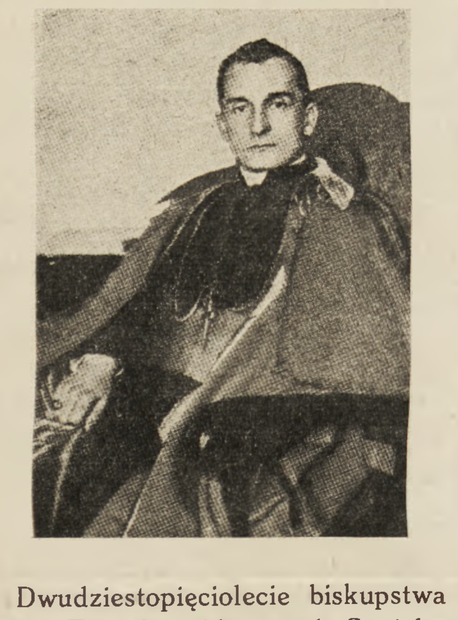
Korektor ma dziś ciężkie życie. Wobec wprowadzenia „nowej pisowni" — powstał n i e o p i s a n y chaos. Nikt już nie może się połapać, czy „potem" czy „potym" — czy jedno i drugie, w zależności od tego, jaką część mowy stanowi dane słowo w zdaniu.

Zecer pamięta tylko o j e d n y m: wszędzie, gdzie p r z e d t e m było „e", pakować „y". Wystukuje z a t e m na linotypie:

„...Program ten odpowiada n a s z y m u kierunkowi, jak ż a d n y m u i n n y m u...".

Szanow n y m u uczo n y m u któ r y m u zawdzięczamy takie kwiatki, — należy się, jak żad n y m u in n y m u, złoty wawrzyn za całokształt powstałych obecnie „niegramatycznościów..."

X. arcybiskup metropolita krakowski ADAM SAPIEHA



Dwudziestopięciolecie biskupstwa Jego Ekscelencji ks. arcyb. Sapiehy było uroczystym świętem Polski i całego świata katolickiego.

W tym hołdzie redakcja nasza uczestniczy całym sercem, pamiętając, iż w długim szeregu zasług Księcia Kościoła istnieje również Jego pełna godności, iście patriotyczna i prawdziwie polska postawa wobec Austrii w okresie wojny światowej.

Głos z drugiej strony

Wytykając małostkowość organizatorom obchodu 20-lecia utworzenia Wojsk Polskich we Francji, którzy zapomnieć raczyli o wodzu tych wojsk, gen. J. Hallerze, znaleźliśmy się w jednym szeregu z „Merkuriuszem Polskim". Ponieważ tygodnik ten, szczerze przychylny konsolidacji politycznej w Polsce, znajduje się — według geografii politycznej — w okolicy drugiego starego bieguna, głos ten jest wysoce znamienny i godny uwagi.

„Nie trzeba być szczególnie wybitnym znawcą nastrojów w kraju — pisze „Merkuriusz" — w ogóle nie trzeba być znawcą tych nastrojów — aby łatwo wyobrazić efekt tego posunięcia. Rozgoryczenie mas, wzrost niechęci do rządu, i oczywiście, co za tym idzie: nowy kamień pod nogi ludzi, prowadzących z takim trudem akcję zjednoczenia narodu".

Dalej znajdujemy w „Merkuriuszu" takie uwagi:

„Gdy tylko akcja zjednoczenia narodowego posunie się o krok naprzód, zaraz ktoś gdzieś skraje taką sztukę, że wszystko bierze w łeb. Czysta historia Penelopy. Co z trudem i wysiłkiem zszyje P. Marsz. Rydz-Śmigły, czy płk. Koc we dnie — to uczynni pomocnicy sprują w nocy".

A dalej:

„Załóżmy się, że jeżeli, pomimo tych wszystkich kamyków, rzucanych pod nogi, znowu uda się posunąć akcję konsolidacji o krok wprzód, zaraz wystrzeli nowa bomba w rodzaju represji na uniwersytetach, czy uroczystości armii błękitnej. Stawiam w zakład dziesięć przeciwko jednemu, że tak będzie".

Nie mamy podstawy do przypuszczeń, aby „Merkuriusz" nie orientował się w stosunkach.

Zygmunt Jakimiak

Młodzież francuska, a młodzież polska

Paryż w czerwcu.

Gdy się ma możność, będąc Polakiem, studiować w szkołach francuskich, trudno się oprzeć chęci porównywania młodzieży obu narodów. Nie oparłem się i ja tej pokusie, gdy mi wypadło uzupełniać swe studia w Instytucie Agronomii Kolonialnej pod Paryżem. Żyjąc z młodymi Francuzami wspólnie po całych dniach na wykładach, w pracowniach, na wycieczkach, jak przed tym żyłem podobnie z różnymi kolegami z S. G. G. W. ileż to, nawet mimowoli, spostrzeżeń i zestawień musiałem uczynić? Podawać je tu wszystkie byłoby za długo. Kilka jednak ważnych różnic szczególnie mnie uderzyło.

Więcej beztroski

Przede wszystkim młodzież francuska jest — bardziej młodzieńcza. Jest bardziej szczęśliwa. Nie ma trosk materialnych, ani trosk politycznych, czy ideowych, lub mniejszościowych, nie martwi się o przyszłość... Starsze społeczeństwo tak wszystko urządziło, zarówno organizując w ten sposób całe szkolnictwo we wszystkich dziedzinach jak następnie zapewniając sprawiedliwy podział stypendiów i posad po ukończeniu studiów, że jedynym—i to może za wielkim zmartwieniem studenta francuskiego, jest zdanie przynajmniej dostatecznie wszystkich egzaminów i — dobre wykorzystanie loisir'u—to jest czasu wolnego. Wie on, że zaraz po ukończeniu studiów czeka na niego praca, do której jest przygotowany i wynagrodzenie za nią, odpowiadające jego kulturalnym potrzebom. Z tego to powodu jego śmiechy i żarty są bardziej beztroskie, jego pieśni bardziej wrzaskliwe, niż młodzieży polskiej. Młodzież francuska może w pełni używać praw swojego wieku, może być młodzieńcza.

Zaufanie między młodymi i starszymi

I doprawdy, gdym porównywał nasze stosunki, gdzie tak znaczna ilość młodzieży nie jada obiadu, gdym zestawił tę atmosferę ładu, pewności, z naszą atmosferą ciągłej niepewności, nieporządku, niechęci, wyznaję, że zazdrość mnie ogarniała!

Jeszcze więcej zazdrości wzbudził we mnie wzajemny stosunek między młodzieżą, a starszymi, zarówno wiekiem jak władzą. Mogłem zaobserwować, że stosunek ten jest raczej rodzinny, niż oficjalny. Dam dwa przykłady. Pokazali mi koledzy pięknie wydany numer Rewii studentów Narodowego Instytutu Agronomii w Paryżu (odpowiednik naszej Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego). Wyjaśniali mi, że studenci tego Instytutu corocznie wystawiają ułożoną własnym dowcipem rewię, w obecności rodziców, gości i profesorów. A cała rewia to zbiór kawałów i dowcipów, wierszem i prozą, o profesorach. Bezlitośnie, z niebywałą pomysłowością i artyzmem, ośmieszają swych profesorów, wywlekając wszystkie ich wady i śmiesznostki. A ci są zadowoleni, zacierają ręce i czują głęboki żal jeśli któryś zostanie pominięty.

Drugi przykład. Na ostatnim wykładzie każdego profesora przedstawiciel młodzieży wygłasza przemówienie. Słyszałem ich już około 20, a jedno było lepsze od drugiego. W sposób przemile dowcipny przekręciwszy cały wykład, przemówienie to kończy się zwrotem, który ma ubłagać profesora o pobłażliwość przy egzaminie. Przemówienie to tzw. Laïus jest tego rodzaju, że i młodzież i profesor śmieją się, bo muszą, ale w tym śmiechu czuć wielkie, a serdeczne wzruszenie, które zawsze towarzyszy objawom miłości wzajemnej. Jeden z profesorów odpowiadał, bo zawsze się odpowiada, wprost ze łzami w oczach i głosem drgającym. Dowcipkując ze swych władz, wręcz je nawet ośmieszając młodzież francuska ma jednakże do nich zaufanie, ba, ma dla nich synowską miłość i szacunek. Dlaczego? Bo czuje, bo widzi na każdym kroku, że te władze ją też kochają, że robią, co tylko w ich mocy, żeby im zapewnić opiekę, dać najlepsze wykształcenie i pracę. Nawet Blum, żyd i socjalista, znajduje jednak lojalność i ze strony byłych członków Młodzieży Patriotycznej. A to dlatego, że (narazie przynajmniej) nic jeszcze nie zrobił na niekorzyść młodzieży. I tego, że młodzież francuska może być szczęśliwa i młodzieńcza, że może szanować i miłować swoich „starszych" istotnie zazdrościłem z całego serca.

U nas inaczej...

A gdy czytałem — w tymże samym czasie — że uczelnie polskie są otoczone policją, że przed ich bramami w pogotowiu stoją motopompy i karetki pancerne, że Bratnie Pomoce wraz z całym majątkiem są odebrane młodzieży — jakże wobec tego nie mogłem się oprzeć uczuciu niższości?

Tymczasem młodzież polska nie jest wcale niższa od jakiejkolwiek innej. Jej niższość powierzchowna leży w tym tylko, że jest stale głodna, że nie jest pewna jutra, że *nazbyt mało czuje opieki, troski o nią u starszego społeczeństwa.* Ba, młodzież ta widzi, przynajmniej pozory za tem mówią, że starsze społeczeństwo nie uznaje jej za swoją, że za swoją uznaje raczej młodzież żydowską, dla swojej znajdując częściej obelgi i szykany. Ileż to razy przedstawiciele starszego społeczeństwa występowali w charakterze właśnie takim? że wspomnę artykuł p. Dąbrowskiej „Doroczny wstyd". A przecież jedyną zbrodnią polskiej młodzieży jest, że dopomina się należnych sobie praw w Polsce. Że pragnie uregulowania sprawy palącej od wieków, sprawy żydowskiej — i nie widzi nawet prób, nawet zwracania uwagi na to zagadnienie. A pretekstem do takiego jej traktowania jest to, że w sposób konsekwentny traktuje złe wychowanie studentów żydów. Bo źle wychowanym jest człowiek, który pcha się do towarzystwa, gdzie go nie chcą. A jest wybitnie ograniczonym i śmiesznym, gdy gwałtem chce się doń wedrzeć i oburza się, gdy go stamtąd wyrzucają.

Wartości polskiej młodzieży

Są jednak pewne właściwości polskiej młodzieży, które ją stawiają wyżej od każdej młodzieży zagranicznej. Jest głębsza, szersza w swoich zainteresowaniach.

Weźmy przykład Bratnich Pomocy. W państwie świeżym, ledwie wydobytym z anarchii wojennej, zniszczonym zupełnie wojną, młodzież tego państwa potrafiła wspaniale zorganizować potężne instytucje, wynalazła dla nich wielkie kapitały, pobudowała domy, tysiącom, tysiącom młodzieży dała jeść, (sam jadłem i jeszczem nie zapłacił), przyodziała je, opłaciła im czesne, dała im mieszkanie, dostarczyła podręczników... I jakże? To ta młodzież, która dała tyle dowodów, iście bratniej, wzajemnej miłości, takich zdolności organizacyjnych, umiejętności administracyjnych, poczucia odpowiedzialności, poświęcenia, to ta młodzież jest zbrodnicza, niższa od żydowskiej? Nigdzie za granicą młodzież nie zdziałała tyle.

W niedzielę 30 maja, polska młodzież akademicka pośpieszyła z drugą oficjalną Pielgrzymką do Częstochowy. Pośpieszyła, by błagać Swoją, oficjalną, już na szczęście, Patronkę, o katolizację Polski; o pokój w *polskim* społeczeństwie i o jego zjednoczenie; o odżydzenie Polski (każdy i najbardziej zżydzony Polak — bądźmy szczerzy—choć raz około Zesłania Ducha Świętego modli się w duszy o to samo). A nakoniec modliła się i we własnej sprawie. A mianowicie o przywrócenie jej należytego miejsca w sercu *jej własnego* społeczeństwa. W ten sposób Królowa Korony Polskiej może wreszcie uczyni ze Swego Królestwa rodzinę, a młodzież w tej rodzinie będzie mogła, jak francuska, śpiewać na całe gardło i układać dowcipne szopki i bawić się w czasie wakacyj zapomniawszv o wszelkich kwestiach żydowskich i politycznych, a jedynie drżąc przed zbliżającym się egzaminem.

WSZYSTKIM PRENUMERATOROM ORAZ OSOBOM
których nazwiska i adresy zostały nam wskazane przez Uczestników Konkursu Podbipięty
przesyłamy blankiety rozrachunkowe P.K.O. Nr. 148
prosząc o wpłacenie zaległej prenumeraty i przypominając równocześnie, że bezpłatna wysyłka naszego pisma ogranicza się do czterech kolejnych numerów.

PO WYROKU MOSKIEWSKIM

OD ARMII SOWIECKIEJ DO ROSYJSKIEJ

Przełomowa data

Agencja Tass podała w dniu 11 czerwca następujący komunikat:

— Dziś odbyła się w Moskwie pod przewodnictwem Ulrycha, przy drzwiach zamkniętych, sesja kolegium wojskowego najwyższego sądu Z. S. S. R. w składzie — zastępca komisarza obrony, naczelnik sił powietrznych Ałksnis, marsz. Budiennyj, marsz. Blücher. naczelnik sztabu gen. Szaposznikow, dow. białoruskiego okr. woj. Biełow, dow. leningradzkiego okr. wojen. Dybienko, dow. północnokaukaskiego okr. wojennego Kaszirow i dow. 6-tego kaw. kozackiego korp. im. Stalina Goriaczow.

Na podstawie ustawy z dnia 13 lutego 1934 r. wszystkich oskarżonych, a mianowicie Tuchaczewskiego, Jakira, Uborewicza, Korka, Eidemana, Feldmana, Primakowa i Putnę skazano na karę śmierci przez rozstrzelanie z pozbawieniem stopnia wojskowego, praw obywatelskich i konfiskatę majątku.

Wszyscy oskarżeni przyznali się do winy — zdrady „ojczyzny Sowietów". Następnego dnia wyrok został wykonany i posypały się dalsze aresztowania szczególnie wśród żydów i komunistów niemieckich.

Przed całym światem odbył się, z rosyjskim okrucieństwem i z cyniczną brutalnością, akt walki między oficerami — starymi bolszewikami, wiernymi zasadzie rewolucji a grupą wyższych wojskowych, którzy oddani są nie tyle sprawie rewolucji światowej, co Rosji.

Rozstrzelani, to żydzi i członkowie partii komunistycznej od roku 1917 i 1918, jednym słowem starzy bolszewicy. Do nich też, do tych starych bolszewików, należał i marsz. Tuchaczewski, kondotier, człowiek ambitny, który dziwnym zbiegiem okoliczności powrócił na czas z niewoli niemieckiej do Rosji, aby wstąpić do partii i być zaangażowanym przez wysłannika Mocarstw Centralnych — Bronsteina Trockiego. W latach 1925—27 Tuchaczewski był uważany za zdecydowanego trockistę, zwolennika współpracy z Niemcami i wyznawcę rewolucji światowej. Na stanowisko zastępcy „narkomwojena" Woroszyłowa dostaje się, wbrew woli tego ostatniego, podczas jego nieobecności w Moskwie, tylko dzięki umiejętności pozyskania sobie zaufania Stalina.

Upadek Tuchaczewskiego był też dla reszty czerwonych marszałków oddawna pożądany. Nie podzielali oni jego germanofilskich przekonań, nie byli też wyznawcami jego trockistowskich zasad.

Zwolennicy Trockiego zaś nie mogli się zgodzić na teorię Stalina o „sowieckim patriotyzmie", który lada dzień mógł się przerodzić w patriotyzm rosyjski.

Wodzowie, którzy pozostali

Przyjrzyjmy się teraz tym wodzom, którzy pozostali: — To marszałkowie Woroszyłow i Budiennyj, którym Trocki zarzuca „patriotyzm w czasie wojny światowej i poparcie od lewicy Miliukowa i Guczkowa", mówiąc zaś o ich przekonaniach politycznych, uważa ich za „nie marksistów, ale narodowych socjalistów"; to Jegorow, dawny oficer cesarski i dowódca pułku, który trafił do bolszewików, jako delegat wybrany przez żołnierzy na drugi wszechrosyjski zjazd Sowietów; to nowy szef sztabu Szaposznikow, absolwent dawnej akademii sztabu gen., adiutant dowódcy frontu z czasów wojny światowej, zdolny oficer, który do partii bolszewickiej wstąpił dopiero w 1930 r.; wreszcie marsz. Bluecher, d-ca Daleko-wschodniej armii i jej organizator.



Marszałkowie: Tuchaczewski, Jegorow, Woroszyłow, Budienny.

Marszałek Blücher

Nie powiedziałem nic o Blücherze, przytoczę więc jego list, pisany przed laty do gen. Mołczanowa, wodza „białej armii", mającej przy pomocy Japończyków zdobyć wschodnią Syberię do jeziora Bajkalskiego.

W tym czasie dzisiejszy marsz. Z. S. S. R. — W. K. Blücher był ministrem spraw wojsk. i głównodowodzącym 5000 armią „Dalekowschodniej Republiki Ludowej". Blücher, o którego pochodzeniu krąży tyle sensacyjnych wersyj, urodził się we wsi Miliuszyna koło Poszechona w dawnej gubernii Jarosławskiej. Wiadomość ta podana przez „Nowyj Mir" (Nr 2 1937 r.) rozwiewa tajemnicę pochodzenia czerwonego marszałka.

Wróćmy jednak do listu Blüchera, pisanego w lutym 1922 r., listu, którego treść rzuca ciekawe światło na jednego z tej grupy wojskowych, którzy zagarniają dziś w ręce swoje władzę nad armią czerwoną.

— *Chcę po raz ostatni,* — *pisze Blücher,* — *zwrócić się do głosu pańskiej dobrej woli, do żołnierskiej uczciwości i sumienia Rosjanina. Czy wy wiecie, że wykonujecie pracę Kaina, pomagając japońskiej dyplomacji... Jakie chce pan widzieć słońce na Dalekim Wschodzie? Czy to, które widnieje na japońskim sztandarze, czy też to wschodzące słońce nowej państwowości rosyjskiej, zaczynające ogrzewać naszą rodzinną ziemię po dniach rewolucyjnej burzy? Zawsze twierdzicie, że walczycie za wielką Rosję, za jej narodowe odrodzenie, za wyzwolenie od bolszewików, prowadzących antynarodową politykę. Czy tak jest naprawdę? Proszę pomyśleć nad tym rosyjski generale, któryś podniósł rękę na wolną, rewolucyjną Rosję".*

Takie to słowa, których treść daleko odbiega od żydowskiego internacjonalizmu Marksa i Trockiego, czytamy w liście Blüchera do gen. Mołczanowa, a przed tym moglibyśmy usłyszeć z ust gen. Brusiłowa, prof. akademii gen. Kuropatkina i z ust innych dawnych oficerów cesarskich, którzy, chociaż patrioci, poszli służyć obok ludzi obojętnych dla idei Rosji — wiernych tylko hasłom III Międzynarodówki.

Stalin i międzynarodówka

Dziś w Rosji Stalin ustępuje przed narodową koniecznością, międzynarodowy komunizm wydaje się być w stadium likwidacji, a trwa jeszcze tylko bolszewizm rosyjski, z dniem każdym nabierający coraz więcej cech narodowych. Jeśli Rosja Sowiecka popiera dziś Międzynarodówkę w świecie, to jedynie dla swoich imperialistycznych celów w Europie i Azji i jedynie dzięki bezmyślności komunistów cudzoziemców.

Czyż to nie dziwny zbieg okoliczności, że w chwili, kiedy rozstrzeliwują starych komunistycznych oficerów i usprawniają polityczną kontrolę nad armią, zostaje mianowany inspektorem szkół wojskowych Z. S. S. R. były rosyjski przedstawiciel wojskowy w Paryżu, od lat mieszkający zagranicą, gen. major hrabia Ignatiew.

A więc likwidacja „starozakonnych" Eidemanów, Jakirów, Feldmanów i Uborewiczów, a na ich miejsce wyznaczenie — Jegorowa, Szaposznikowa, hr. Ignatiewa i innych rdzennych Rosjan.

Walka w armii sowieckiej i jej etapy

Walka w łonie armii sowieckiej zaczęła się naprawdę od aresztowania dowódcy czołgów w Kijowie, gen. D. Schmidta, żyda, organizatora obrony przeciw pogromowej w okresie walk wewnętrznych. Schmidt został aresztowany w lecie 1936 r. pod zarzutem trockizmu i zdrady Rosji.

W styczniowym procesie 17-tu trockistów Radek, obwiniając Putnę i Smutnego, pierwszy raz wspomniał imię Tuchaczewskiego. Następuje potem likwidacja Jagody w związku z nienawiścią wojska do G. P. U., która rozporządzała 200,000 własną armią.

Pierwszego maja b. r. Stalin rzucił hasło oczyszczenia armii sowieckiej z elementów trockistowskich — „Zgnieciemy japońsko - niemieckich trockistowskich szpiegów i szkodników! Śmierć zdrajcom ojczyzny".

W tym samym dniu marsz. Blücher w Chabarowsku w szczerych słowach wyjaśnia rolę czerwonej armii. „Komsomolska Prawda" z dn. 4 maja b. r. pisze:

— Przyjąwszy raport marszałek Z. S. S. R. tow. Blücher obchodzi szeregi. Komenda — „Dla przyjęcia uroczystego ślubowania, parada baczność! Marsz. zwraca się do żołnierzy ze słowami — „Przysięgacie dziś na wierność o j c z y ź n i e, partii i wodzowi tow. Stalinowi. Powtarzajcie za mną słowa uroczystego ślubowania...

Dla łatwiejszego opanowania sytuacji w armii i dla zduszenia starych komunistów (trockistów), Centralny Komitet Wykonawczy (C. I. K.) wprowadza 17-tego maja rady wojenne we flotach i 13 okręgach wojskowych, oraz komisarzy politycznych w oddziałach. Wszystko to podporządkowane jest, dla wzmocnienia armii, marszałkowi Woroszyłowi i ma przede wszystkim służyć, dla podniesienia „politycznego i moralnego stanu armii i dla walki z trockizmem oraz szpiegostwem".

Na kilka dni przed tym w dn. 11 maja, b. r., Tass podał wiadomość o personalnych zmianach w armii. Tuchaczewski zostaje przeniesiony nad Wołgę, a na jego miejsce mianowany jest Jegorow zastępcą Woroszyłowa. Szaposznikow, który zostaje szefem sztabu gen. żegnając się z leningradzkim okręgiem poruszył w mowie swojej przede wszystkim sprawę „bojowego przygotowania armii".

Armia jest opanowana, tym więcej, że na wniosek Woroszyłowa C. I. K. uchwala 25 maja b. r. zwalnianie niepewnych politycznie oficerów i zsyłanie ich na Syberię wraz z rodzinami. Teraz następuje główna rozgrywka, która przynosi Rosji samobójstwo zastępcy Woroszyłowa i kierownika P. U. R. K. K. A., J. Gamarnika, w dn. 31 maja i aresztowanie drugiego zastępcy Woroszyłowa, marsz. Tuchaczewskiego, a następnie i wyrok śmierci dla trockistowskich opozycjonistów.

Sowiecka „Prawda" pisze, iż zniszczenie ostatniego gniazda wojskowych szpiegów, zwiększyło moc czerwonej armii i odkryło karty i plany jednego z mocarstw"... Potwierdza to paryski „Ordre", mówiąc, że Tuchaczewski był zawsze zwolennikiem niemiecko - sowieckiego zbliżenia i, że upadek jego jest ciosem dla Niemców.

Zginęli starzy wodzowie armii czerwonej, nowy etap historii Rosji rozpoczął się. Co przyniesie przyszłość?

Jerzy Przywieczerski

Z dni prób i żalu

(Wspomnienie o królu wygnańcu)

Lat temu dziesięć umierał król Ferdynand I, monarcha, który urzeczywistnił marzenia tylu pokoleń i tylu książąt rumuńskich, łącząc w jedno państwo, w ową upragnioną „România Mare" (Rumunia Wielka), wszystkie prowincje rumuńskie. Wbrew uświęconym tradycjom i zwyczajom prawy następca, starszy syn królewski, ówczesny książe Karol, znajdował się na wygnaniu w Paryżu. Głęboko przywiązany do ojca, odczuł on tym boleśniej swą stratę, że nie mógł widzieć króla Ferdynanda w ostatnich miesiącach jego życia, ani być obecnym przy jego zgonie.

W piękny letni poranek odbyła się w cerkwi rumuńskiej w Paryżu msza za zmarłego króla. Było z nią dużo kłopotu, gdyż dyplomacja rumuńska obawiała się, aby kolonia rumuńska, bardzo naówczas liczna nad Sekwaną, nie urządziła owacyj wygnańcowi. Poradzono sobie wreszcie: zamiast jednej, dwie msze: pierwsza rano z udziałem tylko korpusu dyplomatycznego, na której miał być i królewski wygnaniec, lecz nikt z kolonii rumuńskiej, druga dla Rumunów, późno popołudniu.

Popem cerkwi rumuńskiej był wówczas człowiek niezwykle światły i mądry prof. Radu, obdarzony w dodatku pięknym głębokim basem. Dzięki uprzejmości jego mąż mój i ja dostaliśmy się na mszę poranną. Idąc, rozglądałam się dokoła. Przed małą cerkwią — byłą kaplicą katolicką — kordon policji francuskiej tworzył półkole, zamykające dostęp do cerkwi tym łatwiej, że do małej starej uliczki, rue Jean-de-Beauvais, schodzi się od rue des Ecoles po krętych chociaż szerokich schodkach. Pozostaje zatem dostęp dla aut od strony bulwaru Saint Germain i rue Saint-Jean-de-Latran.

Lecz poza kordonem policji stała zwarta masa mężczyzn i kobiet różnego wieku i różnych klas społecznych. Kolonia rumuńska ani myślała rezygnować ze swych praw. Stała więc cierpliwie mimo upału, mimo kordonu policji, która zresztą zdawała się w głębi duszy sprzyjać temu tłumowi, gdyż nie wzywała go bynajmniej do rozejścia się.

W cerkwi ogromny katafalk cały był zarzucony białymi kwiatami. Białe róże, białe goździki, ale najwęcej przepysznych białych gladiolusów. Pachniało kwiatami i kadzidłem.

Szamerowane mundury dyplomatów szybko wypełniły cerkiew. Błyszczały złote i srebrne hafty, mieniły się wstęgi orderów. Garstka „cywilów", bardzo nieliczna, była, mimo rannej godziny, we frakach, panie w czerni. Uwijali się niespokojnie przy drzwach panowie z ówczesnej legacji rumuńskiej. Nagle wraz z sapaniem jeszcze jednego zajeżdżającego auta przeleciał krótki zbiorowy okrzyk i jednocześnie oczy wszystkich zwróciły się ku drzwiom. Środkiem cerkwi szedł wysoki, bardzo szczupły młody mężczyzna o twarzy niemal wychudłej i błyszczących gorączkowo oczach. Całe życie tej wytwornej, iście królewskiej postaci zdawało się skupiać w oczach. Twarz była blada przeraźliwie, bez kropli krwi i tak zastygła i nieruchoma, jak twarze umarłych, albo posągów. Szedł równo, sztywno i automatycznie. Miało się wrażenie, że ten człowiek nadludzkim wysiłkiem woli zachowuje spokój i równowagę, ale że ten wysiłek złamać się może lada chwila.

Gdy książę doszedł do przeznaczonego mu miejsca i zajął je, pochylił głowę i ukrył twarz w dłoniach i pozostał już w tej postawie nieruchomo. Spojrzałam parę razy ukradkiem, zdawało mi się, że szerokie mocne ramiona drgały czasem lekko,, lecz może było to złudzenie.

Przebrzmiały długie bolesne śpiewy pogrzebowe. Teraz poselstwo rumuńskie przyjmowało, stojąc w środku cerkwi, kondolencje dyplomatów. I książę Karol musiał przyjmować je również wraz z przedstawicielami rządu, który uczynił z niego wygnańca i tułacza: Stał wyprostowany sztywno i jednakowym ruchem podawał rękę każdej podchodzącej do niego osobie. Raz czy dwa tylko rysy jego lekko, leciutko drgnęły. Było to wtedy, gdy podeszli do niego oficerowie rumuńscy z jakiejś misji wojskowej w Paryżu. Może widok ich przypominał mu jakie dobre, czy bolesne wspomnienia.

Trzeba przyznać, że po królewsku znosił swoje cierpienie. Poprosiłam męża, żeby nie podchodzić z kondolencją. Poco przedłużać choćby o sekundę ten smutny przymus? Podeszliśmy zatem do drzwi, zanim skończyła się ceremonia. W parę minut po tym ukazał się książę. Paru panów z poselstwa rumuńskiego kręciło się koło niego niespokojnie, wołając o auto książęce. Ale nim nadjechało, tłumy Rumunów za kordonem zakołysały się. zadrżały. Poznały księcia. Z setek piersi buchnął szczery, żywiołowy okrzyk:

„Traiasca regele!" (czyt. trajaska redzele). Niech żyje król!"

„Auto dla księcia! Auto dla księcia!" — wołali rozpaczliwie panowie z poselstwa rumuńskiego.

„Niech żyje król Karol II!" wołał tłum rumuński.

Jakaś starowina przedarła się przez kordon policjantów, niezbyt surowych co prawda. i upadła na kolana przed księciem krzycząc:

„Traiasca regele!"

Policjanci francuscy wcale nie mieli ochoty mieszać się do cudzych spraw. Mruczeli tylko z ojcowską pobłażliwością:

„Plus bas! plus bas!" (ciszej, ciszej!)

A tłum wrzeszczał coraz głośniej.

Znalazło się nareszcie auto książęce i książę odjechał.

Przyszły dni odwetu losu. Powrót króla do Rumunii, restauracja. Ale wśród tego tryumfu nie było miejsca ani na pamięć o doznanej krzywdzie, ani o zemście za nią. Prawdziwie po królewsku, Karol II zapomniał o winie tych. co skazali księcia Karola na tułactwo. Podobnie jak bohater Wiktora Hugo mógłby powiedzieć o sobie:

Et je t'ai crié: Mon père, par où faut-il que je commence?

Et tu m'as répondu: Mon fils, par la clémence.

(I wołałem do ciebie: Ojcze jak mam zacząć panowanie?

I tyś mi odpowiedział: synu, od przebaczenia).

Ale nigdy może, nawet w największym blasku swej władzy, potęgi i majestatu, król Karol II nie wydał mi się bardziej królem, jak wtedy przed małą cerkwią rumuńską przy rue Jean-de-Beauvais.

Maria Kasterska

Wit Tarnawski

PODRÓŻ NA WSCHÓD

V. GETSEMANI

Jerozolima, 17 kwietnia.

Włócząc się dziś po dolinie Józefata i Cedrońskiego potoku (który wyjątkowo, po rannym deszczyku, spłynął brudną wodą), zwiedzając groby grecko-żydowskie itp. zaszedłem do franciszkańskiej Bazyliki Konania, wzniesionej obok starych drzew oliwnych ogrodu Getsemani i na jego terenie. Kościół ten, zbudowany zresztą całkiem niedawno na miejscu starej bazyliki Konstantyna, a potem Krzyżowców, nęcił mnie już od pierwszych dni pobytu trafnym rozwiązaniem kształtu, szczęśliwie uzgodnionego z charakterystycznymi cechami architektury „Świętego miasta". Gdzieindziej szereg niewielkich zresztą i umiarkowanych kopułek, jakimi jest pokryty jego dach, możeby dziwił a wielka frontowa polichromia wydałaby się zbyt barwna. W tym kraju jednak kopułki i barwę spotyka się na każdym kroku — a rzadko kiedy w tak dyskretnym podaniu i zgrabnym zespoleniu. Nie gotycka, nie renesansowa — a właśnie taka powinna być świątynia Jezusa Nazareńskiego.

Zadowolenie zmienia się w zupełne oczarowanie, gdy się wejdzie do wnętrza kościoła. Znowu coś rozkosznie znanego: baśń kolorowa z meczetu Omara — tylko prostsza, a przez to jak gdyby bardziej kojąca i uduchowiona. Łagodnie polśniewają polerowane marmury w liniowo-złotym mroku, płynącym z witraży i stropów. W kościele nikogo. Skądciś słychać modlitwę niewidzialnego chóru zakonnego. Nie chciałoby się stąd odchodzić, lecz jak najdłużej pozostać w chłodnej kąpieli barw, w ciszy — zdala od wrzasków i słońca tego kraju!

Wprost z bazyliki franciszkańskiej poszedłem do leżącego prawie naprzeciw kościoła a raczej podziemnej krypty Grobu N. Marii Panny, który należy do prawosławnych Greków. Właściwie pociągnął mnie tam zakrystianin murzynek czyhający na gości i bakczysz. To był kontrast! Po uczynnym braciszku franciszkańskim, wyjaśniającym skwapliwie, gdy wręczałem mu datek na kościół, że wszystkie informacje są darmo — grecki mnich, który nadleciał natychmiast z tacą i czyhał na mnie jak szatan na duszę u wyjścia kościoła, by wychodzącemu twardo powiedzieć: „pour l'eglise" i wskazać palcem na tacę, gdzie, na zawstydzającą przynętę, rozsypał same większe monety. Tych greckich księży spotykam poprostu wszędzie, jednako brodatych, brudnych i chciwych. Chwilami mam wrażenie, że od dwóch tysięcy lat nic się tutaj nie zmieniło, że to kapłani Starego Testamentu wciąż jeszcze obsiadają kłótliwą i złą rzeszą przybytki Jerozolimy.

Jestem dziś zmęczony całodzienną włóczęgą w upale. Najgorsze, że mało odczuwam z tego, co tutaj widzę. Było zaledwie parę takich chwil i bardzo krótkich. W istocie nie bawi mnie ani wzrusza mój wymarzony pobyt w świętym mieście; nudzę się ,nierad jestem czekającym mnie trudom dalekiej podróży i często wolałbym znaleźć się już w domu. Starzeję się chyba. To co zdołałem dotychczas zaobserwować i przemyśleć wydaje mi się również bardzo pośledniego gatunku; tylko wzruszenie niesie nowe i wartościowe ujęcia.

Jerozolima, 20 kwietnia, 4-ta nad ranem.

Ponieważ dziś rano ruszam w dalszą drogę do Tyberiady, przeleżałem do teraz na łóżku, nierozebrany i przy niezgaszonym świetle, odkładając z lenistwa wciąż chwilę pakowania. Spałem tylko przez krótkie chwile i miałem sposobność przysłuchać się nocy.

Niespokojna jakaś i niesamowita jest noc jerozolimska. Bez przerwy, nie wiem już od której godziny — pieją koguty; przypominając Piotrowe zaparcia. Liczne zegary wybijają co kwadrans znak czasu. Wieje głośno wiatr i chłód ranny wciska się do pokoju. Na dworze widać gwiazdy, lecz ciągną chmury czy mgły — na tej wysokości (800 mtr) bardzo nisko. I te mgły przejrzyste, a od nocy czarne, są jak niewody duchów ciemności, zaciągane nad świętym i zdradzieckim miastem.

LUIGI PIRANDELLO

5)

JEDEN ZA DRUGIM

(Il turno)

Autoryzowany przekład **Stefana Krasuskiego**

Dopiero za kilka dni ten i ów został wpuszczony. Niebezpieczeństwo już minęło; odwiedzający mogli widzieć również Filomenę. Biedaczka wskutek niespodziewanego ciosu musiała położyć się do łóżka, gdyż stan jej raptem się pogorszył.

Do rannego zostali też dopuszczeni Marcantonio Ravi i Alcozer. Przyszli razem; jeden uśmiechnięty i ceremonialny, drugi skupiony w sobie, stroskany, bo żółć się w nim burzyła.

— Don Pepè, mój drogi don Pepè!

I chciał koniecznie pocałować go w rękę, roniąc łzy, jak nad umierającym.

Rana jednak, choć duża, nie była niebezpieczna. Pepè skarżył się tylko odwiedzającym na brak ruchu, a oczy jego co chwila szukały wzroku Marcantonia, żeby wyczytać w nich wiadomość o Stellinie.

Ravi mówił mu o interesowaniu się nim całej rodziny, a don Diego potakująco kiwał głową przy każdym słowie teścia.

— Ach, więc i Stellina wiedziała o pojedynku?

— Na tę myśl doznawał Pepè najżywszej radości, zmąconej tylko dziwnym uśmiechem, z jakim don Diego kiwał głową przy każdym słowie teścia.

— Przyjdźcie, przyjdźcie koniecznie znowu mnie odwiedzić, — rzekł na odchodnym Pepè. — Lekarz twierdzi, że będę jeszcze długo tak leżał. Nie macie nawet pojęcia, jaką przyjemność mi zrobicie...

— Przyjemność? Ja? panu? wybuchnął Marcantonio. Życiebym za pana oddał, don Pepè! Bóg wie, ile cierpiałem dowiedziawszy się... ale basta! Teraz nie pora o tym mówić. Do widzenia! Wpadnę jutro... jeżeli tylko mnie wpuszczą. Wie pan, że w dzień pojedynku szwagier pański wyrzucił mnie za drzwi.... Mnie, mnie, który chciałem zanieść cię na rękach do swego domu i pielęgnować jak syna! Ale dosyć tego! Do widzenia, don Pepè.

Ravi istotnie przyszedł, ale sam i nie nazajutrz, lecz w parę dni później. Spędził z chorym dłuższy czas na rozmowie o miłym domu Alcozera, o sposobie, w jaki tam traktowano Stellinę, która wreszcie zaniechała oporu, o codziennym odwiedzaniu córki, której zalecał rozsądek i cierpliwość:

Bo — rozumie pan, kochany don Pepè, — stary z jednej strony zdaje sobie sprawę ze swego położenia, z drugiej jednak, jak panu wiadomo, lubi towarzystwo, więc... rozumie pan? W domu goście, młodzież.... Jeżeli mi się to poniekąd podoba, (bo Stellina ma pewną rozrywkę i nie jest wciąż sama), to jednak obawiam się, żeby to nie dało powodu złym językom do plotek: Zna pan przecież nasze miasteczko...

Bywają też u Alcozerów pańscy przyjaciele bracia Salvo, z kuzynami Garofalo, złote, wesołe chłopaki, jak powszechnie wiadomo, a co do Stelliny, chociaż to moja córka, muszę stwierdzić, bo pan ją przecież zna, że to anioł!

W każdym razie, nie trzeba igrać z ogniem. Basta! co do mnie, ja się więcej do niczego nie wtrącam; teraz powinien o wszystkim myśleć mąż, który ma chyba doświadczenie. Co pan na to? Zresztą zna pan przysłowie. Mądrzejszy głupiec w swoim domu..

— A Stellina? Stellina? — nie śmiał zapytać Pepè. — Śmieje się, śpiewa, żartuje z tymi Salvo i Garofalo wtedy gdy ja tutaj jestem przykuty do łóżka — dla niej...

ROZDZIAŁ X.

Od owego dnia łóżko biednego Pepè było najeżone cierniami:

— Niech mi pan powie, doktorze, kiedy ja będę mógł wstać! Nie mogę już dłużej!...

Lecz doktór, jakby nie słyszał. Pobyt u niego tylko krótką chwilę, zaprzątnięty czymś innym: — poważnym niebezpieczeństwem, jakie groziło pani Filomenie.

Coppa, nie chciał tego uznać. Kategorycznie żądał od doktora wyleczenia żony, gdyż wiele wycierpiawszy i wykosztowawszy się dla niej — sądził, że zdobył prawo mieć ją przy sobie na zawsze. Od tygodnia nie zmrużył oka i nic prawie nie jadał, zrzadka tylko przyłykając byle co przy łóżku żony, o ile był zmuszony do tego przez nią samą. Po prostu wzroku od niej nie odrywał.

Naprawdę mu się zdawało, że w ten sposób walczy ze śmiercią. Nie uznawał za możliwe, żeby śmierć mogła mu porwać żonę, wtedy, kiedy on sam stał wytrwale i czujnie na straży, za oręż mając własną wolę. Nie zważał na nikogo, ażeby tylko nie przerwać ani na chwilę gwałtownego napięcia wszystkich sił jestestwa przy czuwaniu nad chorą.

Gdy lekarz zwracał się do niego z czym kolwiek, odpowiadał niezmiennie:

— Nic nie wiem; rób pan co uznasz za stosowne; pan jesteś odpowiedzialny. Ja tu zostaję. Nie skarżę się na nic.

W końcu lekarz zażądał konsylium, a nabrawszy pewności, że uczynił wszystko co było możliwe, oświadczył, że nie bierze już za nic odpowiedzialności. Pani Filomeny uratować niepodobna.

Ciro Coppa zwymyślał lekarza, wypędził go precz; poczem, uważając, że tu w domu, gdzie nauka medycyny wobec śmierci uznała się za zwyciężoną, stosowanie jej przepisów doznało już porażki, wyjął z szafy suknię żony i rzekł:

— Masz, ubieraj się zaraz! — Ja cię sam wyleczę. Pojedziemy na wieś; świeże powietrze, przechadzki... Tego ci potrzeba. Ja pokażę tym szarlatanom, oszustom...

Wybuch płaczu przerwał mu raptem słowa. Żona przymknęła oczy z bólu nad jego rozpaczą: dwie łzy spłynęły z jej rzęs i toczyły się po woskowej, wychudłej twarzy. Dała mu znak ręką, aby usiadł na łóżku. Ciro przybiegł strwożony, drżąc z wysiłku, z jakim tłumił gwałtowne wzruszenie. Wtedy umierająca objęła go ręką za szyję i słabą dłonią głaskała go po głowie.

— Zrób mi jedną łaskę, — wyszeptała: — spowiednika...

Ciro przypadł do jej piersi, porwany tak strasznym płaczem, jak gdyby żal gryzący zaraził go wścieklizną.

— Nie masz już do mnie zaufania! — ryczał, wśród nieprzerwanych szlochów.

Wreszcie zerwał się zmieniony, straszny:

— Jakież ty możesz mieć grzechy na sumieniu, że chcesz je wyznać pod tajemnicą spowiedzi?

— Grzechy... Kto z nas ich nie ma? — westchnęła umierająca.

Wyszedł z pokoju, chwytając się za głowę i kazał służącej, żeby księdza sprowadziła.

— Starego, tylko starego! — zawołał do niej i uciekł z domu, żeby nie asystować przy tym obrzędzie.

Przez dwie godziny prawie chodził tam i z powrotem pod drzewami Passeggiat'y, usiłując odgadnąć grzechy, z których w tej chwili żona spowiadała się przed księdzem.

— Jakie grzechy? Jakie to mogą być grzechy? Grzeszne myśli chyba... grzeszne intencje... Prawie nikt nie widywał jego żony... Jakieś chyba dawne dzieje, stare grzechy?...

Tak myśląc, kroczył z rękami na biodrach, ze skurczoną z zazdrości twarzą i z oczami, które ciskały płomienie.

W nocy Filomena umarła. Pepè chciał za wszelką cenę podnieść się z łóżka, żeby zobaczyć po raz ostatni twarz siostry i pocałować ją w czoło. Ciro zamknął się w pokoju dzieci, które odesłał do babki. Rzuciwszy się na łóżko darł i gryzł poduszkę, żeby nie wyć.

Następnego dnia kazał nakrywać do stołu. Stara służąca spojrzała mu w oczy, jakby w obawie, że zwariował.

— Nakrywaj stół! — krzyknął znowu. — A przygotuj nakrycie również i dla pani.

Zażądał, żeby wszyscy, Pepè i dzieci, zasiedli z nim do obiadu.

— Ja tu rozkazuję, — krzyczał, bijąc pięściami w stół, aż brum! skakały szklanki i talerze. — Tu ja rozkazuję! Pomyślcie, że Filomena zmartwiłaby się, gdyby z jej powodu dzieci były dziś głodne! Jedzmy!

Pierwszą porcję nalał na talerz żony, jak to zwykle czynił. Chciał dać dobry przykład i pierwszy wziął się do jedzenia; ledwie poniósł łyżkę do ust, zachłysnął się, zatkał usta serwetą i gryząc ją, wołał stłumionym głosem:

— Filomeno! Filomeno!

Jednak gdy wystraszone dzieci zaczęły głośno płakać, — znów: **brum!** pięściami w stół.

— Cicho! Ja tu rozkazuję. Dzieci, nie róbcie przykrości waszej matce, ona jest tu z nami, wszystkich nas widzi i będzie cierpiała, jeśli zobaczy, że nie chcecie jeść. Jedzcie dzieci, jedzcie!

ROZDZIAŁ XI.

Żałoba po siostrze i bladość, ślad pozostały po długiej rekonwalescencji, sprawiły, że Pepè wydał się w oczach Stelliny bardziej interesującym, jak gdyby włożył żałobę właśnie po niej, gdy ją wydano za innego.

Udał się do domu Alcozera, przy ulicy porta Mazzara, zaraz pierwszego wieczoru, kiedy mu wyjść pozwolono. Na schodach czuł, że mocno bije mu serce, bo po każdych pięciu lub sześciu stopniach musiał się zatrzymywać, aby nabrać tchu.

Doszedłszy do przedostatniej kondygnacji, został okrutnie zraniony: usłyszał głos Stelliny, która śpiewała jakiś romans przy akompaniamencie... Maura Salvo, bez wątpienia...

— Śpiewa, śpiewa niewdzięczna, jakby nigdy nic!

Oparł się o ścianę i mocno przycisnął dłoń do oczu. Ostatnie słowa romansu dolatywały wyraźnie:

— w r ó ć, d r o g i i d e a l e, w r ó ć, w r ó ć!

Rozległy się oklaski, a wśród nich słychać było przeciągły srebrzysty śmiech. Pepè wzdrygnął się, przebiegł ostatnie schody i pociągnął za dzwonek.

— Pepè! — zawołał zdziwiony Gasparino Salvo, który mu drzwi otworzył i z radością pobiegł oznajmić tę wiadomość w salonie.

— Pepè! Pepè Alletto! przyszedł Pepè!

Fifo i Mommino Garofalo i Toto Salvo przybiegli natychmiast. Don Diego, który drzemał na kanapie, zbudzony oklaskami i okrzykami, wstał i patrzył na Maura Salvo, siedzącego na fotelu i na Stellinę, która z kolanem na taburecie i z jedną ręką na klawiaturze zapatrzyła się w płomień świecy przy pulpicie.

Pepè wszedł przy gwarnym powitaniu przyjaciół, blady i zmieszany. Spuściwszy oczy, wyciągnął rękę do Stelliny, która podała mu swoją — sztywną i zimną, podczas gdy don Diego, kłaniając się i szeroko otwierając ramiona, mówił:

— Brawo! Brawo! Nareszcie tu, między nami! Zupełnie wyleczony! Jakże rad jestem! Siadaj pan obok mnie.

Jeden tylko Mauro Salvo nie rzekł ani słowa. Nie ruszywszy się ani na chwilę z fotela, patrzył na przybysza zimno spod powiek, które opadały mu chorobliwie na wyłupiaste oczy, chociaż zadarty nos zdawał się im z dołu uporczywie i dumnie wskazywać, żeby się podniosły do góry. Pepè, popatrzywszy na niego, zwrócił się do Stelliny, pytając:

— Czy nie przeszkadzam?

Don Diego wtrącił szybko:

— Co też pan mówi, kochany don Pepè. To dla nas tylko zaszczyt i przyjemność. Czekaliśmy na pana co wieczór, rozmawiając tylko o panu. Nie prawdaż, panowie?

Wszyscy, oprócz Maura Salvo i Stelliny potwierdzili te słowa.

— Również — ciągnął dalej don Diego — byliśmy bardzo zasmuceni nieszczęściem, jakie pana spotkało.

— Biedna pani Filomena! — rzekł Fifo Garofalo, poprawiając okulary na nosie.

Na wzmiankę o zmarłej nastała chwila ciszy, podczas której Pepè zlekka kiwał głową.

— Obawa o mnie — rzekł — przyśpieszyła koniec biedaczce.

— Obawa, — jeśli ją miała, była słuszna, — wtrącił szorstko Mauro Salvo z oczami na dół, a nosem do góry, — gdyż jeżeli to prawda, co powszechnie mówią, twój szwagier zamknął ją na klucz w pokoju i nie pozwolił, żeby cię zobaczyła. Wywnioskowała z tego, że jesteś bliski śmierci. Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby zobaczyła tę rankę...

— Rankę? przerwał osłupiały Mommino Garofalo. — Ile szwów było, Pepè?

— Sześćdziesiąt cztery, — odrzekł cicho Pepè przez zaciśnięte zęby.

— Tak — odparł Mauro, spoglądając wkoło spod spuszczonych powiek, — ale z pewnością nie była to rana śmiertelna ani niebezpieczna.

— Zapewne, zapewne..., zgodził się Pepè, żeby skończyć dyskusję.

— Ale proszę państwa... Będąc na schodach słyszałem, jak pani Stellina śpiewała romans... Czy na prawdę obecność moja wam nie przeszkadza?

— Co znowu? Wszak powiedzieliśmy panu, że nie, kochany don Pepè.

I don Diego opowiadał mu, jak spędza się wieczory w jego domu, wtrącając tu i owdzie, refleksje o bezmyślności życia i przeklętej starości. S i c v i v i t u r, s i c v i v i t u r...*).

Towarzystwo było dlań czymś niezbędniejszym od chleba, ale naturalnie towarzystwo młodzieży. Ze starymi, jak on sam, nie wiadomo, co robić. Nic mu jednak już nie pozostało tylko patrzeć i słuchać, słuchać i patrzeć. Ale się i tym zadowalał.

Mówiąc to, don Diego miał na ustach ten dziwny uśmieszek, który Pepè już zauważył podczas ostatniej wizyty, jaką mu złożył wraz z Marcantoniem. Jednak tym razem, zdawało mu się, że ów uśmieszek odnosił się raczej do Maura Salvo, na którym często spoczywał wzrok don Diega.

Niesłusznie jednak Pepè się niepokoił. Uśmieszek ów miał znaczenie głębsze, niż mu przypisywała jego zazdrość. Don Diego, w istocie, od pierwszego momentu spostrzegł, że Salvo kocha się w Stellinie, ale tą miłością nie martwił się, lecz cieszył, chcąc ją skrycie wyzyskać.

Mauro miał brzydką twarz i ordynarne maniery. Stellina nigdy by mu nie uległa. Natomiast starzec obawiał się jego, Pepè, protegowanego przez teścia i otoczonego obecnie urokiem pojedynku o jego własną żonę. Z prawdziwą niecierpliwością oczekiwał don Diego interwencji Pepè, gdyż Stellina ówczas wzięta by została we dwa ognie: dwaj rywale staliby na straży jego mężowskich praw i mógłby odtąd spoczywać spokojny i pewny. Wynalazek korzystania bez niebezpieczeństwa z towarzystwa tej wesołej i beztroskiej młodzieży okazywał się praktycznym. Dlatego właśnie stary uśmiechał się tak szczególnie.

Rozmowa zaczęła powoli się ożywiać. Wzięła w niej udział również Stellina. Jednak od czasu do czasu rzucała niespokojne spojrzenia na balkon, dokąd wyszedł, gdy inni rozmawiali, Mauro Salvo i zamknął cicho drzwi za sobą.

Teraz stał on tam odwrócony tyłem do salonu, oparty o żelazną balustradę, z głową w dłoniach i patrzył na pola ogarnięte nocą.

Don Diego pierwej niż Stellina zauważył jego zniknięcie z salonu i w pewnej chwili chciał go na wet przywołać:

— Wróć pan tu, na Boga! Możesz się przeziębić...

— Głowa mnie boli, — tłumaczył się posępnie Mauro, wróciwszy i zamknąwszy drzwi balkonu.

Don Diego, mając w swych bezrzęsnych oczach taki sam uśmiech jak na nieruchomych ustach, popatrzył nań przez chwilę, po czym rzekł przyjaźnie:

— Ach tak, to widać po panu, biedaku... Odwagi! nie poddawaj się...

*) Tak się żyje, tak się żyje.

ROZDZIAŁ XII.

W jeden z takich wieczorów ułożono na najbliższą niedzielę wycieczkę za miasto; zbiórka o szóstej rano.

Z pomocą braci Garofalo i innych — don Diego nakłonił Pepè do wzięcia udziału w tej wycieczce pomimo świeżej żałoby; wówczas Mauro oświadczył, że nie będzie mógł przybyć.

Istotnie w zbiórce brakowało jego jednego. Don Diego poczuł się jak bez ręki i pod pozorem, że pogoda nie zdawała się być dosyć piękna, chciał zaniechać wycieczki, lub ją odłożyć.

Niebo rzeczywiście było nieco chmurne, więc można było oczekiwać pierwszych deszczów jesiennych.

Młodzi przyjaciele wraz ze Stelliną utrzymywali natomiast, że ranek jest po prostu jak wymarzony na wycieczkę: don Diego w końcu musiał ustąpić.

Stellina była wesoła, żartowała z Fifo Garofalo, który niósł jej płaszcz i udawała, że czuje chłód. Pepè patrzył i sam uśmiechał się również, jak gdyby był jej zwierciadłem.

Blisko Passaggiaty zobaczyli, że oto Mauro Salvo stoi oparty łokciami o filar balustrady z rękami pod brodą. Pierwsza spostrzegła go Stellina. Przygryzając wargi i kładąc palec na ustach, wzięła z rąk Pepè laskę, podbiegła cicho na palcach, tak, iż wyciągnąwszy rękę z laską mogła zlekka spłaszczyć wierzch kapelusza Maura. Ten odwrócił się raptem ze złością, lecz ujrzał przed sobą Stellinę, która z powagą pogroziła mu palcem wśród ogólnego śmiechu.

W ten sposób Mauro Salvo przyłączył się do towarzystwa. Wszyscy się śmieli, a Stellina zdawała się być najweselszą. Don Diego patrzył na szczęście młodzieńców wokół swojej żony i napawał się ich radością, kusztykając za nimi po pochyłej, zakurzonej, krętej uliczce, pełnej wybojów i nieustannego turkotu wozów.

— Powoli, dzieci, powoli... — nawoływał od czasu do czasu staruszek, rozmyślając nad długą drogą i nad latami, które dźwiga; często wznosił oczy do nieba i wykrzywiał usta.

Niebo od wschodu stawało się coraz bardziej groźne; gdzieś w głębi — na sinych wierzchołkach Crocca — gwałtownie wzrastała ciemność, jakgdyby tam już padał deszcz; wionął świeży wietrzyk, jakby chciał przygotować i uprzedzić spragnione drzewa, że pożądany deszcz niebawem upadnie. Ze spalonych pól i ściernisk sterczących z prawa i z lewa urwistej drogi, dochodziły radosne głosy skowronków, które zapewne również zwiastowały bliski deszcz.

d. c. n.

CEZAR I CZŁOWIEK

(Nowa sztuka A. Nowaczyńskiego w Teatrze Polskim)

Wizerunek w „Sapienza"

Podczas mych studiów w Rzymie zdarzyło mi się kiedyś zajść po raz pierwszy do *Alessandriny*, tego czarownego zakątka, nie wspominanego w Baedeckerach i stąd na całe szczęście mało znanego tłumom hałaśliwych turystów. Wśród krużganków, sal i dziedzińców panuje tam wzorowa i uroczysta cisza, która do profanów — i nie do profanów — woła: *Favete linguis...*

Jest to bowiem siedlisko nauki, wiedzy, mądrości: *Sapienza*, jak to określają swym językiem Włosi. Dawna uczelnia, pamiętająca czasy Odrodzenia, nosząca miano jednego z papieży — humanistów.

Gdym wszedł do wielkiej czytelni w znajdującej się tam bogatej bibliotece, miłą radość sprawiły mi nietylko obfite jej zbiory ksiąg i rę-



Adolf Nowaczyński.

kopisów, nietylko nieporównana wprost zwinność i uprzejmość personelu bibliotecznego, w mig zaspokajającego każde życzenie czytelników, ale jeszcze i trzecia okoliczność: oto z głównej ściany widniał na miejscu poczesnym, królujący nad całą salą — piękny wizerunek Mikołaja Kopernika.

Nie przypadek to, że go tam ustawiono. Osoba Kopernika wiąże się z Rzymem bardzo ściśle, a najściślej ze starym uniwersytetem papieskim, *Sapienza*.

Kopernik w Rzymie

Do Wiecznego Miasta biegł wielki astronom nieraz myślą w ciągu swego życia. Nauczył go tej tęsknoty wieszcz rzymski, Wirgiliusz, ten sam, z którego „Eneidy" wziął Kopernik jedną z głównych podniet i pięknie zastosowaną alegorię swego wiekopomnego odkrycia. Ciągnęło go do Rzymu i to, że w mieście onym nauka rozkwitła niebywale, że gromadzą się tam najuczeńsi mężowie świata, że są tam zbiory, będące prawdziwą skarbnicą natchnień naukowych.

Marzenia Mikołaja, świeżo naówczas kreowanego kanonika fromborskiego, mogły się urzeczywistnić dopiero w roku jubileuszowym 1500. Do ich urzeczywistnienia dopomógł przezacny wujaszek, biskup Łukasz Wacenrode, świetny dyplomata i polityk, jeden z tych, co najmocniej utrwalali dzieło zespolenia Pomorza z Macierzą polską. Dzięki otrzymanemu odeń stypendium dwaj bracia Kopernikowie udają się do stolicy chrześcijaństwa, przyłączając się do rzesz pielgrzymich, ciągnących w ową stronę, wśród których znajduje się i wielu Polonusów. Nie brak i takich, co — podobnie jak oba Koperniki — nabożny cel pielgrzymki odpustowej łączą z celem naukowym: rector magnificus krakowski Maciej Miechowita, Albert Krypa z Szamotuł i in.

Prawo czy astronomia?

Wuj, jak to wuj, może być i najmędrszym człowiekiem, ale i on, naprzekór aforyzmowi Rocha Kowalskiego, nie zawsze ma rację. Wielki dyplomata biskup Łukasz chciał snadź i siostrzeńca kształcić w swoim fachu, kiedy mu narzucił studia prawnicze. Po teoretycznych wykładach z tej dziedziny w Bolonii miało nastąpić praktyczne „przeszkolenie" w kurii papieskiej. Owszem, nauka w las nie poszła — umiał po latach Kopernik i w dyplomatycznych sprawach znaleźć się jak należy: dowodem słynny jego list do Zygmunta Starego ze skargą na — prześladowania ludności pomorskiej przez Krzyżaków. Ale choć nigdzie tak wysoko nie stały naówczas dyplomacja i studium prawa, jak w humanistycznym i papieskim Rzymie to właśnie siostrzeniec biskupa - polityka odstrychnął się od polityki, jakby sobie rzekł za Horacym: Mitte civiles super Urbe curas... Od wysokich sfer tego świata bliższymi i godniejszymi uwagi wydały mu się — sfery jeszcze wyższe, niebiańskie. Że już wtedy — w służbie Uranii wielką posiadł wiedzę dawny scholarz krakowski, a następnie boloński prawnik, potrosze i lekarz, magister Mikołaj Kopernik, dowodzi choćby fakt jeden. Oto w tymże roku jubileuszowym i na wiosnę roku następnego, przybysz z dalekiej Polski ma wykłady publiczne na uniwersytecie papieskim. Czytamy o nim, że „mając lat około 27, wykładał w Rzymie, jako profesor nauk matematycznych, wobec wielkiej ciżby uczniów i wobec grona wielkich mężów, świetnie obeznanych z tym zakresem wiedzy".

Dramat myśliciela.

Tę to chwilę z życia Kopernika wziął za przedmiot swego dramatu Adolf Nowaczyński.

Ktoś rzeczy nieświadom zapyta może: I cóż może być dramatycznego w tym, że uczony polski otrzymał veniam legendi na jednym z uniwersytetów? Cóż to znów za dramat?

Zapewne. Są i takie hierarchie naukowe, do których dochodzi się gładko, bez niebezpieczeństw, cierpień i poświęceń. Ale bywają też drogi naukowe strome, nieubite i niewydeptane, najeżone cierniem, zagrodzone ludzką niską zawiścią, intrygami, obmowami, a co najcięższe, płaskim ludzkim urągowiskiem...

Dramat takich ludzi odważnych, co nie lękają się iść uciążliwą drogą wzwyż ku prawdzie, nie wahając się przeciwstawić swego zdania twierdzeniom uznanych powag i powszechnym mniemaniom publiki, — jest nieraz równie wielki, jak dramat niejednego z wodzów czy polityków. A zwłaszcza powiększa się ten dramat, gdy chodzi o człowieka tej miary — czy tych miar, co Kopernik. Po wiekach nauka zaliczyła go do swych luminarzy, darząc go czcią bezwzględną, ale gdyby tak Kopernik żył w epoce dzisiejszej i zechciał np. ubiegać się w Polsce o katedrę, i gdyby przedstawił swoje personalia, wnet pojawiłby się głos krytyczny: ten człowiek się „rozprasza" — zajmuje się i matematyką i filologią klasyczną i sztuką lekarską, co zaś najgorsza, malarstwem i pisaniem wierszy! Lepiej by zrobił, gdyby się „skupił" i „wyspecjalizował" w jakiejś ciasnej dziedzinie...

Ale Kopernik żył w czasach innych, kiedy to ideałem nie była „specjalizacja", kiedy wiedziano, że wszystkie nauki i wszystkie umiejętności ludzkie ku wspólnym dążą celom i wzajem się łączą.

Kopernik, Macchiawelli, Cezar, Borgia

Sens tych wspólnych dążeń, tego uniwersalizmu ludzi Odrodzenia, ukazał nam Nowaczyński niejednokrotnie w swej sztuce. Co więcej, na tak dogodnym tle okrągłego roku 1500-ego, dążności te starał się zogniskować, konfrontując z Kopernikiem — na dalszym czy bliższym planie — szereg innych twórców równie jak on uniwersalnych i żyjących ciągłym niepokojem twórczym. Wyrażono kiedyś przypuszczenie, iż w tym właśnie roku spotkał się Kopernik z Leonardem da Vinci. W utworze Nowaczyńskiego słyszymy nietylko o Leonardzie, ale i o Rafaelu, Bramantem, Michale Aniele, Kolumbie, a na scenie widzimy Mikołaja Macchiawellego (dobrze, choć bez głębszego przekononia gra jego rolę Chodecki).

Historyczne źródła nic nam nie mówią — o osobistej znajomości tych dwóch Mikołajów: Włocha i Polaka. Fantazja poety ma najzupełniejsze prawo poznajomić ich wzajem ze sobą, tym bardziej, że przeciwstawienie dwóch powołań: dyplomaty i zapatrzonego w światło wiedzy uczonego, mogło być dla samego Kopernika istotnie aktualne w czasie pobytu w Rzymie.

A czy znał się Kopernik osobiście z bawiącym podówczas w Rzymie straszliwym Cezarem Borgią? Źródła historyczne znów milczą o czymś podobnym. Jedyne — słabe zresztą — ogniwo, jakie znaleziono dotąd na tym polu, stanowi książka, dziś rzadka, drukowana w r. 1502, zatytułowana *Almanach perpetuum*, napisana przez Alfonsa z Kordoby *(Hispanensis)*, nadwornego lekarza Cezara Borgii; dziełko to znał Kopernik i studiował uważnie, czego dowód mamy w jego „Zarysie" *(Commentariolus)* budowy świata. Na tej zapewne podstawie Nowaczyński wysnuł swój własny poetycki domysł, że Kopernik znał się z chlebodawcą Alfonsa, onym-że Cezarem Borgią.

Domysł ten — czy poprostu pomysł — znęcił go do tego stopnia, iż z niego to powstał naczelny, a przynajmniej tytułowy, motyw dramatu. Pokusa silna dla dramatopisarza kochającego się w silnych efektach scenicznych: dać kontrast tych dwóch ludzi Odrodzenia, dwóch ludzi o równie bujnej naturze, o równie niespokojnych, czynnych i wszechstronnych umysłach, a jednakże krańcowo sobie przeciwnych.

Nie tylko kontrast, ale i konflikt musi się zarysować w tym spotkaniu. I tu już śmiałą ręką tworzy Nowaczyński ciąg dalszy, logiczną konsekwencję tej poetyckiej legendy, w której prawdą niewątpliwą okazuje się rzecz jedna: charakter Cezara Borgii, zupełnie odpowiadający temu, co o nim wiemy z historii; nieposkromiona ambicja, porywczość, miarkowana niekiedy tajonym w duszy zamiarem bardziej wyrafinowanej zemsty, lubieżność i cynizm — wszystkie te rysy występują wyraziście i zdecydowanie w każdym słowie i czynie tego człowieka. A dzięki znakomitej i niezawodnej grze Junoszy Stępowskiego, który umie nieznacznym nawet i jakby obojętnym (w druku) słowom nadać odpowiednio dobrany stopień w a ż n o ś c i, Cezar Borgia — choć rzadziej od wielu osób innych ukazuje się na scenie, jednakże bardziej od nich odsłania duchową swą zawartość... i to przede wszystkim wtedy, gdy się najbardziej stara ją ukryć.

Kopernik i Lukrecja Borgia

Tego wszystkiego nie można powiedzieć o Koperniku nakreślonym przez Nowaczyńskiego, a zareprezentowanym przez Wilamowskiego. Nie chcę z tego robić zarzutu ani autorowi, ani wykonawcy. Te szczegóły, jakie zawarł czy uwypuklił w charakterze astronoma Nowaczyński, były w nim istotnie, ale nie były czymś wyłącznym czy przesłaniającym wszystko inne. Kopernik był nad wszelką wątpliwość człowiekiem głęboko religijnym; świadczy o tym niejedno miejsce jego dzieł, a także napis „Bóg pomagaj", nakreślony własną jego ręką po polsku. Był też, za przykładem wuja - opiekuna, wiernym obywatelem Polski, a miał też i wielki sentyment do swych stron rodzinnych i do Krakowa, wyrażony przezeń wierszem, godnym, by go umieszczono u stóp posągu Kopernika na wystawie paryskiej, celem zapobieżenia rozlegającym się głosom prasy niemieckiej. Wiersz ten brzmi bowiem:

„Me genuit Thorunna, Cracovia me arte polivit..."

Skorzystał z tych szczegółów Nowaczyński, zwłaszcza w pięknej scenie, gdzie Kopernik z Lukrecją Borgia ogląda mapę Europy i wskazuje z rozrzewnieniem miejscowości, które ukochał. Ale sądzę, że autor wyposażył Kopernika mimo wszystko jednostronnie. Dał mu za wiele marzycielskości, uczynił go niekiedy dystraktem, zgoła nie dostrzegającym spraw ziemskich i bliskich. A tymczasem Kopernik niezupełnie był taki. Owszem, jako autor rozprawy o naprawie monety, jako inżynier projektujący wodociągi pod Kwidzyniem, jako strateg, obmyślający fortyfikacje dla Fromborka (przeciw Krzyżakom) umiał stąpać trzeźwo i pewną stopą po ziemi. A że był Kopernik i poetą (co słusznie stwierdził niegdyś pan Geldhab), to niekoniecznie przeczy jego trzeźwości. Ale p. Wilamowski, który już niegdyś dobrze się spisał w roli poety-Mak-Yksa („Pierścień wielkiej damy"), skorzystał pewno chętnie z tego właśnie romantycznego wizerunku astronoma.

Wizerunek taki zresztą potrzebny był niewątpliwie Nowaczyńskiemu do celów dramatycznych. Inaczej trudno byłoby Kopernika przybliżyć do Lukrecji Borgii. Aby przybliżenie to stało się bardziej prawdopodobne, Nowaczyński ukazał Lukrecję nieco inną od tej, jaką zwykliśmy sobie wyobrażać, a już zgoła niepodobną do tej, jaką niegdyś wyjaskrawił Victor Hugo. Może poszedł za tą opinią, jaką głoszą o Lukrecji historycy najnowsi, np. Seppelt i Loeffler w wydanej niedawno w polskim przekładzie (Wydawnictwo Polskie, Poznań) „Historii papieży": „choć życie jej nie było bez zarzutu, była lepszą niż jej sława". Andryczówna uwydatniła bardzo przekonywająco dwie kolejne fazy charakteru Lukrecji: jej początkowy brak moralnej świadomości, a następnie rozwijające się w niej coraz to silniej uczucia szlachetne, wynikłe z sublimatowanej miłości do młodego astronoma.

Język Nowaczyńskiego.

Na zakończenie parę słów o języku utworu. Autor „Cezara i Człowieka" puścił się na osobliwą archaizację, nie mającą w sobie nic archaicznego: w wielu wypadkach odnosiło się wrażenie, jakby przez jakąś przekorę pododawał do rzeczowników męskich końcówki żeńskie — i vice versa. Sytuację ratowało pewne tonowanie tych „anomaljów" (tak się to w gramatyce łacińskiej zowie) przez aktorów: np. w ślicznej scenie końcowej I aktu, gdzie Kopernik objaśnia topografię nieba.

Sprawę języka poruszyłem głównie dla tego, że pamiętam, iż Nowaczyński, jeśli tylko zechce, umie archaizować trafnie i zgodnie z nastrojem sztuki. Weźmy dla przykładu przede wszystkim rzecz o Reju z Nagłowic, a następnie i „Samozwańca".

Józef Birkenmajer

Przepowiednia „Cezara i Człowieka" sprzed 26 lat.



W „Kurierze Świątecznym" w r. 1911 pomieszczona była powyższa karykatura z podpisem:

— Nu, panie Kopernik, pan kuda?

— Puszczajcie mnie, Nowaczyński idzie, — gotów się teraz na mnie rzucić. Przecież i ja całe życie w gwiazdach grzebałem...

Chropowatości

„NAZWISKA".

Parokrotnie umieszczaliśmy na łamach „Podbipięty" spisy nazwisk, o które ubiegają się żydzi. Coraz im niewygodniej w skórze Kohnów, czy Rosenblattów. Zjawiają się Koneccy, Różyccy, lub Różańscy.

Obecnie akcją przestrzegania rasowych, zagrożonych inwazją „iczów" i „skich" zajęło się w stałej rubryce ABC.

Bardzo słusznie. W walce z wdzierającym się drzwiami i oknami żydostwem pismo codzienne może zdwoić i potroić dzwonienie na trwogę; wobec zakusów najeźdźczych na polskie nazwiska nigdy nie dość samoobrony.

Pragnę tylko zwrócić uwagę na specjalnie żydowską perfidię w wyszukiwaniu sobie tych nowych, wykombinowanych „dowodów osobistych".

Oto jakiś Srul czy Abram zapragnął się nazywać... JABŁONIOWSKI... Nie ma tego nazwiska w herbarzu. Jest tylko książęcy, senatorski ród JABŁONOWSKICH. Srul czy Abramek wie, że za wysokie progi na jego nogi, że potomkowie starożytnej rodziny wnieśliby żywy protest przeciw tak oczywistej uzurpacji. Więc Abramek lokuje się w pobliżu, aby cierpliwie czekać. On spekuluje na to, że maleńkie „i" pewnego dnia, (może w drugim, może w trzecim pokoleniu?) wypsnie się spod pióra znudzonego śmiertelnie skryby w jakimś urzędzie — i już wtedy wnuczek Abramka będzie JABŁONOWSKI, a jego córki — „z JABŁONOWSKICH".

Jest polskie nazwisko LATOSZYŃSKI. żydek wnosi podanie, że chce być LATUSZYŃSKIM. On jest skromny: jemu wystarczy, gdy się zacznie nazywać AKRZEWSKIM. Niech się ZAKRZEWSCY martwią, żeby się kto nie przejęzyczył...

SKRZEMIEŃSKIEMU przyschnie do podniebienia sztucznie dodane „S". Jego potomkowie będą mieli piękne, „czystopolskie" nazwisko. Kto by tam przez wieki pamiętał, że byli kiedyś KRZEMIEŃSCY, którym żadnej literki nie skurtyzowano w metrykach...

To, co robią żydy z nazwiskami, znanym jest „trickiem" nawet w przyrodzie. Są grzyby — u d a w a c z e. Dziecko wie, że borowika do złudzenia naśladuje t. zw. Grzyb szatański. Smaczne rydze mają też swoich naśladowców: Wełnianki.

Taka wełnianka do pasji może doprowadzić człowieka: Już się schylasz, już łykasz ślinkę, — a tu raptem poznajesz po zapachu, żeś się dał nabrać.

To jeszcze i cała pociecha: zamaskowanego żyda, jak fałszywego grzyba, Polak pozna po kształcie i zapachu, przyjrzawszy mu się baczniej.

Inaczej — za dużo byłoby JABŁONOWSKICH, a stanowczo za mało — APFELBAUMÓW.

SOWA.

TYGODNIK LITERACKI

Jarosław Iwaszkiewicz, świetny poeta, zdobył tegoroczną nagrodę im. Reynela za „Lato w Nohant". Oto fragment przemówienia W. Grubińskiego, prezesa Związku Autorów Dramatycznych do Laureata:

— Najwyższym rodzajem literackim jset utwór sceniczny. Stwierdził to i tego dowiódł, w obowiązującej po dziś dzień swojej teorii literatury, genialny Arystoteles przed dwoma tysiącami lat z okładem, a później pod jego nieśmiertelnem dziełem kładli swe podpisy w ciągu długich wieków najprzenikliwsi znawcy twórczości literackiej wszystkich krajów, nie wyłączając Polski.

O najwyższości dramatu w hierarchii rodzajów literackich zapomniano u nas dopiero po wojnie, gdy w zamęcie politycznym, gospodarczym i wszelkim, na obszar działalności artystycznej i literackiej wdarło się mnóstwo krzykaczów, posiadających odwagę swojej ignorancji.

— — — — — — —

Otóż ten najwyższy rodzaj literacki, tragedia, komedia, farsa, mimo niezrozumienia, z jakim się spotyka w sferach, powiedzmy, „odnośnych", nie przestaje się u nas manifestować w postaci utworów wielkiego talentu i na poziomie kultury zachodnioeuropejskiej. Bohatera jednej z tych manifestacji mamy właśnie w swoim gronie, siedzi w wieńcu nagrody reynelowskiej na głowie, a w sercu odczuwa naszą zbiorową radość, którą mu płacimy za jego sztukę o Chopinie.

— — — — — — —

Niech się nasz szanowny laureat nie uraża, że w pochwale jego pięknego dzieła wspomniałem i o usterkach tego dzieła. Nawet bóg dramaturgów, Szekspir, popełniał błędy w swych utworach, a wielkiemu Corneille'owi najznakomitszy po Arystotelesie teatrolog, Lessing, wytykał potworne, zaiste przywary. Nie doskonałość budowy, ani zawrotność dialogu, ani ideowość — społeczna, filozoficzna, mistyczna — decyduje o wartości i wiecznotrwałości artystycznego dzieła. O tej wiecznotrwałości rozstrzyga siła, znana pod mianem talentu, a funkcją talentu jest: w formę — jak tutaj, dramatyczną — zaklinać raz na zawsze wibracje wzruszeń, witaminy emocji. Tego czarodziejskiego zaklęcia dokonał Iwaszkiewicz.

GODLEWSKI NA ŚLADACH WOKULSKIEGO.

Dowody nieśmiertelności Prusa spotykamy na każdym kroku: autor „Lalki" i „Faraona" przemawia dziś niemniej często, niż za życia, bo go czytają i cytują nieustannie.

Świeżo Stefan Godlewski, inicjator tablic pamiątkowych na autentycznych — po literacku — siedzibach prusowskich bohaterów, wydał tomik misternych sonetów p. t. „Śladami Wokulskiego" u F. Hoesicka.

W trzynastu rozdzialikach poetyckich, autor opisuje swoje liryczne włóczęgi po Warszawie, która dla niego przesiąknięta jest cała cehami „Lalki" tej epopei warszawskiej, gdzie poezja i prawda są nierozłączone.

Godlewski przepełnił swoje sonety również i reminiscencjami z własnych, pełnych uroku, nowel o Warszawie. Jest tam wspomniana jej mityczna założycielka, rybaczka „Warszowa" i „Grabinka", ex-kochanka „króla Stasia", rokokowa boginka z parku Łazienkowskiego, gdzie według Godlewskiego, zamieszkuje do dzisiaj — jako driada w ustronnym grabie, który poniekąd jest dyskretną oficyną „białego domku" królewskich miłostek.

W wytwornej, uderzającej cyzelatorstwem rymotwórczym, książce, Godlewski rozwija dalej swoją „zabawę Lalką", kładąc wiele duszy i talentu w tę piękną grę „w chowanego" z własnym wzruszeniem.

ARCHIWUM POLSKIE W CHICAGO.

Placówka polska — Polish Muzeum przy Zjednoczeniu Pol. Rzymsko-Katolickim (Milwauke Avenue, Chicago, Illinois, U. S. A.) zbiera wszelkie dokumenty i pamiątki, dotyczące Polonii w Ameryce. Kustosz p. Mieczysław Haimann zwraca się do rodaków z gorącym wezwaniem do poparcia tej ważnej i żywej instytucji. Wszelkie ofiary będą przyjmowane z wdzięcznością.

ASTROLOGIA O ROKU 1937.

Polski „Kalendarz Astrologiczny" wróżył na r. 1937 z położenia Uranusa w Byku i z Wenery, „kosmicznej patronki Polski", że: „Takie położenie Uranusa sprowadza p o g o d ę n a o g ó ł z i m n ą...".

Trafił — kulą w płot.

Jaskrawy bunt upałów przeciw rozkazowi gwiazd budzi obawę, czy nie wywiną koziołka i nie odwrócą się twarzą do ogona i inne obietnice astrologa p. Prengla z Bydgoszczy.

W swoistej polszczyźnie — z emfazą, zapowiedział on, że w roku bieżącym:

„Ekspansja dynamiki witalnej przeżywa okres regeneracyjny".

Oby i to nie zawiodło!

ZAGROŻONA MEKKA.

Mekka rozwodowa, gród Gedymina, — Wilno, przeżywa ostry wstrząs.

Wścibska kontrola wejrzała niedyskretnie w archiwa konsystorza kalwińskiego, który w sposób przystępny — chociaż niezawsze legalny — bez długich ceregieli wyzwalał niedobrane pary z pod jarzma małżeńskiego.

W surkus uczynnemu konsystorzowi ciągnie już podobno szturmowy oddział wolnych literatek, pod dowództwem naczelniczki, która pielgrzymkę do tej Mekki rozwodowej odbyła już j e d e n a ś c i e r a z y i tyleż razy osiągnęła z powrotem swobodę, nienadwątloną żadnymi przesądami rytualnymi.

Ten sam zastęp literatek działał w swoim czasie w obronie Rity Gorgonowej.

Pogawędka „Podbipięty“

UCZUCIA I ŁASKOTKI

Pan Ignacy zawsze oszałamia mnie swemi wiadomościami, to też kiedy zadał mi pytanie, gdzie się buduje kanał piaseczyński. odrzekłem bez namysłu:

— Ano, pewnie idzie do Piaseczna.

— Nie panie — odparł pan Ignacy. Kanał ten ma połączyć Wisłę ze stawami w Łazienkach i z Piasecznem nie ma nic wspólnego.

— Wisłę z Łazienkami? Po co?

— To tradycja. To jest wskrzeszenie idei naszego ostatniego króla Stasia. Nie miał król samochodu ani dróg wygodnych do Zamku, wybudował więc kanał i jeździł wodą. Z szykiem jeździł.

Kanał wpadać będzie do Wisły przy porcie Czerniakowskim. Obecnie kończy się odcinek między Czerniakowską a Myśliwiecką. Solidnie idzie praca. Boki się betonuje a dno uszczelnia gliną.

—Niech się pan nie dziwi—perswadował mój znajomy—że prezydent Starzyński łączy Łazienki z Wisłą. Dlaczego ma tego nie robić skoro Stalin mógł sobie pozwolić na połączenie morza Białego z Bałtyckim a Faraoni na przekopanie Suezu? Cóż to, czy nas nie stać na inwestycje? Przecież nawet specjalne podatki mieliśmy płacić na ten cel.

— Tak panie, ale dochody z przedsiębiorstw, takich jak tramwaje i wodociągi idą na utrzymanie urzędników. Te pieniądze właśnie powinny iść na inwestycje!

Pan Ignacy namyślił się chwilę i odrzekł:

— Wie pan jaka jest różnica między kobietą uczuciową a łaskotliwą?

— Nagle pan zmienia temat.

— Ale celowo. Bo, widzi pan, kobieta pozbawiona uczuć, zimna, jak głaz, może być — jak tc określam — łaskotliwa. to znaczy, może łatwo ulegać przelotnym wrażeniom.

— Owszem.

— Można być wypranym z uczuć, a jednocześnie wrażliwym. To też ludzie mający pustkę w sercu często przepadają za wrażeniami.

— To prawda!

— Jakże wiele jest kobiet niezdolnych do uczucia, ale pożądających choćby najpodlejszego gatunku adoracji, bo sama adoracja — to już dla nich dosyć. Kobiety tego typu są czułe na piękne słówka, komplementy, objawy zainteresowania ich osobą, a zwłaszcza ich powierzchownością.

— Takie kobiety tanio kosztują...

— Świetna uwaga! Ale też co tanie — trwa krótko. Trudno pleść kobiecie jedno i to samo.

— Jednak wszystkie kobiety czułe są na piękne słówka.

— O nie! Są takie, które nienawidzą tanich kadzideł oraz zbyt gorliwego interesowania się ich osobą.

— Ale czemuśmy odeszli od spraw miejskich?

— Po to właśnie, aby do nich powrócić. Odnoszę wrażenie, że nie ma istoty bardziej łaskotliwej jak nasza symboliczna Syrena.

— Ta ma szczególne szczęście do łaskotek i to od wielu lat!

— O, tak. Ale nigdy nie stosowano ich tak systematycznie, jak obecnie.

W. D.

Konkurs przyjaciół „Podbipięty”

Coraz liczniej napływają zgłoszenia nowych prenumerat. Dwa następne kupony na meble (wartości 50 zł.) zostaną już w najbliższych dniach przyznane p. D-rowi Wł. S. oraz p. Irenie B. którzy mają najwięcej zdobytych punktów. P. Irena B. ubiega się już o II kupon meblowy.

Wszyscy ci Uczestnicy Konkursu, którzy posiadają po 10 (lub więcej) punktów, mogą otrzymać wyroby perfumeryjne oraz książki, w administracji naszej w godzinach od 9—11 lub 18—19.

Konkurs trwa nadal i rozpoczyna się indywidualnie dla każdego nowego Uczestnika z dniem zgłoszenia przez niego listy z nazwiskami i adresami 15 OSÓB, którym PRZEZ MIESIĄC wysyłamy „Podbipiętę” bezpłatnie. W razie zgłoszenia prenumeraty w pierwszej połowie próbnego miesiąca, Przyjaciel Podbipięty otrzymuje dodatkowo jeden punkt jako premium.

Powtarzamy warunki konkursu: Za każdą uzyskaną prenumeratę MIESIĘCZNĄ — 1 punkt. Za KWARTALNĄ 3 pkt. Za PÓŁROCZNĄ — 12 pkt. a za ROCZNĄ — 25 pkt. W razie wpłacenia prenumeraty w przeciągu 2 tygodni — dolicza się 1 punkt dodatkowy.

NAGRODY:

Zależnie od ilości zdobytych punktów, Uczestnicy Konkursu otrzymują nagrody wartości od 5 do 50 zł. Wystarczy mieć 10 pkt., aby otrzymać w administracji paczkę mydeł, kosmetyków lub książki, — albo 25 pkt. dla zdobycia albumu z pięknymi zdjęciami J. Bułhaka, — albo 60 punktów, jeżeli ktoś pragnie zaopatrzyć się w jakiś mebel, wartości 50 zł. z firmy St. Radelicki, lub w makatkę z „Ładu”.

Prenumeraty najlepiej wpłacać bądź wprost w administracji, (Chmielna 9), bądź na konto rozrachunkowe Nr. 148.

Pamiętajcie, że „Podbipięta” jest NAJTAŃSZYM tygodnikiem, że CAŁOROCZNA PRENUMERATA wynosi TYLKO 12 zł. a KWARTALNA — TYLKO 3 zł.!

Pamiętajcie, że PRAWDZIWY PRZYJACIEL „PODBIPIĘTY” zjednywa pismu nowych prenumeratorów!

Dyktatura Ewy

KAJAK

Różni ludzie różne mają metody zwalczania skutków upału. Jedni biorą zimny prysznic dla ochłody, inni opychają się lodami, jeszcze inni wprost przeciwnie, radzą pić wrzącą herbatę i kąpać się w gorącej wodzie. Ale może najlepszym sposobem jest rozebrać się do naga (prawie!), wsiąść na kajak i płynąć gdzie fala poniesie. Wąska, lekka łódka eskimosów, opięta skórą, stworzona do uwijania się między złomami kry podbiegunowej, u nas rozpoczyna swą karierę z nadejściem upalnego lata. Z roku na rok wzrasta jej popularność. Jeszcze niedawno każdy dłuższy spływ był niepospolitym wyczynem sportowym, wyprawą w nieznane. Dziś wszystkie jeziora, wszystkie rzeki i rzeczułki polskie rozkwitają latem bielą kajaków, jak nenufarami. Ba maleńkie łupinki zapędzają się nieraz i na morze! Takie wyprawy wymagają już znajomości żeglarstwa, doświadczenia i treningu, inaczej mogą być ryzykowne, ale kajakowanie na mniejszą skalę, po rzekach o spokojnym nurcie, dostępne jest każdemu. Naturalnie trzeba się brać do rzeczy rozsądnie. Nie wyruszać odrazu na długie wyprawy. Chociaż wiosłowanie w kajaku nie sprawia trudności, to jednak wymaga pewnego wyćwiczenia. Trzeba mięśnie ramion zaprawiać stopniowo i także stopniowo przyzwyczajać skórę do operacji słonecznej, która na wodzie jest bardzo silna. Inaczej można powrócić z wycieczki spuchniętym, w całym tego słowa znaczeniu. Na kilku godzinną nawet przejażdżkę lepiej zabrać, oprócz kostiumu kąpielowego, jeszcze i rodzaj pyjamy — spodnie i bluzę płócienną, aby w razie potrzeby ochronić się od zbytniego żaru. Także białą, płócienną czapkę lub kapelusz. Dłuższa wyprawa wymaga staranniejszego ekwipunku. A więc: kostium kąpielowy, komplet płócienny, wiatrówkę i sweter od nagłych deszczów lub chłodu, płaskie trepki czy espadrille, wreszcie nie zawadzi spódniczka, aby po zapadłych wsiach, dokąd czasem trzeba zachodzić w poszukiwaniu żywności, nie straszyć ludzi spodniami na niewieścich kształtach! Wszystko to musi być praktyczne, zahartowane na działanie słońca i deszczu. Dobrze jest zaopatrzyć się w worek nieprzemakalny, w którym zapasowe części garderoby ukrywa się w dziobie kajaka.



Ale najważniejsza rzecz to sam kajak i wszystko co jego jest. Musi być lekki a wytrzymały, zwrotny a nie wywrotny, wygodny, zręczny, solidny. Musi mieć wiosła odpowiedniej długości i ciężaru, żagiel mocny a cienki, maszt dobrze zbalansowany, łatwy do składania. Kiedyś bezkonkurencyjne były kajaki niemieckie, obecnie w Polsce wyrabiają istne cuda. Są kajaki drewniane tak lekkie, że można je nieomal na dwuch palcach przenieść przez groblę napotkaną niespodzianie. Są składaki, które wraz z całym ekwipunkiem mieszczą się w paru sakwach i dają się przewieźć z łatwością w przedziale kolejowym. A ileż pomysłowości w przyborach! Co za wspaniałe namioty do obozowania na piaszczystych łachach, lub uroczyskach leśnych, gumowe nadymane powietrzem materace wygodniejsze niżli nie jedno łóżko; gumowe także poduszki do wykładania dna kajaku, impregnowane, płócienne falochrony osłaniające wnętrze łodzi od deszczu i bryzgów wody, lekki, aluminiowy sprzęt kuchenny, wymyślne maszynki spirytusowe nie gasnące na wietrze, jednym słowem luksus, do którego oczy namiętnej kajakistki zapalają się ogniściej niż do najpiękniejszych strojów!

Bo na kajaku nie krój sukni, ani fason kapelusza zdobi kobietę, ale biel żagla, błysk wiosła, zamaszysty gest smagłych ramion na tle błękitu nieba i wody.

EWA.

Recenzja muzyczna z ogrodu sejmowego

Bardzo mi miło spełnić ten obowiązek publicystyczny. Publicysta powinien umieć pisać o wszystkim, więc tym razem zabrałem się do recenzji muzycznej. Tematu dostarczyło mi Polskie Radio, transmitując w sobotę 12 czerwca, fragment koncertu z podwieczorku w ogrodzie sejmowym.

Co było na podwieczorek — nie wiem. Okoliczność miejsca pozwala mi tylko wnosić, że był to podwieczorek przeznaczony dla osób pozostających na diecie (oczywiście — poselskiej).

Kto był — wiem częściowo. Widziano przy stolikach — jak oznajmił sprawozdawca — „wicemarszałka Przystora, wicemarszałka Cara z małżonkami”.... I dużo jeszcze osób wymieniał sprawozdawca, ale już nie pamiętam ile kto miał małżonek.

Na treść koncertu złożyły się: „Wiązanka marszów”, która stanowi leitmotiw” polityki wewnętrznej, prawda? Później był walc angielski: „Meksykańskie róże”. Powiązanie i uzgodnienie tak skrajnych temperamentów stanowi myśl przewodnią polityki zagranicznej. Z kolei śpiewał pan Witas. W związku z tym numerem programu ze względu na okoliczność miejsca — muszę tylko zalecić wyraźne czytanie nazwiska pana Witasa przez „a”. Po urozmaiceniu muzycznym, wykonanym przez M. O. P. R. (Mała Orkiestra Polskiego Radia), nastąpiła druga część wokalna. Śpiewała cienkim głosem (kobiecym) pani Irma Kozłowska. Naczelna jej piosenka miała znamienny tytuł: „Nie raz, nie dwa, nie trzy”. Było to bardzo na miejscu. Natomiast zakończenie koncertu mazurem „Od dworu do dworu” budzi pewne zastrzeżenia. Sądzę, że pan minister Poniatowski życzyłby sobie raczej usłyszeć mazura „Od chaty do chaty”. Ulica Wiejska powinna się z tym liczyć.

Całość koncertu skonsolidowana była jednak bardzo dobrze. Transmisje stamtąd zawsze będą słuchane z zainteresowaniem. Mogą to być nawet audycje z płyt gramofonowych. Temat odpowiedni do nagrania na płyty znany był już niemal przed stu laty. „Gazeta Codzienna” z 22 stycznia 1840 roku zamieściła następujące spostrzeżenie nadesłane z Paryża:

„Uwagi godny zaszedł zbieg okoliczności, że wszyscy mówcy, którzy na wczorajszym posiedzeniu izby deputowanych mówili o interesach Wschodu, równie i na zeszłorocznym zgromadzeniu izby w tym samym przedmiocie, w tej samej kolei i prawie w tenże sam sposób rozprawiali”.

Nagranie na płyty raz na zawsze mów sejmowych będzie ze wszech miar pożyteczne: W lecie można je nastawiać na podwieczorkach w ogrodzie sejmowym, a w zimie na sesjach w gmachu sejmowym — i to nie raz, nie dwa, nie trzy....

A co najważniejsze — płyty nie będą pobierały diet poselskich.

MAREK ZAGAJNY

KINO

KINO „ATLANTIC”

„BRUTAL”

Nareszcie coś nieprzeciętnego, odbiegającego od szablonu filmów salonowo-sensacyjnych, pozbawionego czadu niezdrowej zmysłowości.

Tłem filmu „Brutal" jest wielka huta stalowa, gdzie w potokach roztopionego żelaza, ukazana jest apoteoza ludzkiej pracy i wysiłku.

Nieskomplikowana fabuła filmu przedstawia życie robotników, pracujących w hucie, ich troski i radości.

Główną postacią filmu jest kierownik brygady robotników, którego odtwarza znany aktor Victor Mac Laglen. Jego atletyczna budowa, wraz z twarzą typowego boksera, jakgdyby wyciosana z drzewa, o wystającej szczęce — stanowi doskonały typ współczesnego Hefajstosa.

Dwie kontrastowe postaci kobiece kreują: Binnie Barnes, jako „wamp" (ani rusz bez „wampa") ze sklepu z cukierkami i Jean Nixon w roli szlachetnej kobiety, walczącej zwycięsko z „wampem" o serce kochanego mężczyzny.

Sceny w hucie dobrze wyreżyserowane i nie mniej dobrze zdjęte — stanowią główny walor tego niepowszedniego filmu, który powinien był ukazać się w sezonie, a nie podczas letnich upałów.

(w. g.).

KINO „IMPERIAL”

„SREBRNA TORPEDA”

Temat „Srebrnej torpedy" przypomina film demonstrowany przed paru laty pod nazwą „Lokomotywa Nr. 6029" z nieodżałowanym Lon Chaneyem w głównej roli.

Tym razem punktem ciężkości filmu stało się ukazanie emocjonującego wyścigu, który odbywa nowoczesny pociąg, celem uratowania od śmierci kilku osób. Szaleńcza jazda pociągu przez góry, wąwozy, tunele i mosty, daje widzowi wiele wrażeń.

Podczas jazdy w pociągu-torpedzie, roz grywa się dramatyczny konflikt, który lada chwila może sprowadzić katastrofę, jednak w decydującym momencie film kończy się „happy endem".

Zupełnie nieznany i pozbawiony gwiazd zespół aktorski zasługuje jednak na pochwałę. Kreskówka kolorowa o krówce Molly i motylach uzupełnia ten letni program.

(w. g.).



— O, szczęśliwe „sam na sam"...!

(„The Humorist").

RADIO

CZEGO SŁUCHAĆ

NIEDZIELA dn. 20.VI. O godz. 12.03 „Tatry" — Koncert w wyk. orkiestry P. R., między innymi utworami „Tańce góralskie" Paderewskiego na 2 fortepiany. O godz. 16.00: melodie i tańce mazurskie. O 16.30 płyty. O 17.00: „Cytryny sycylijskie" Pirandella w teatrze wyobraźni. O 22.00: Koncert solistów.

PONIEDZIAŁEK dn. 21.V.: O godz. 12.40: „Od warsztatu do warsztatu" audycja poświęcona pracowniom instrumentów muzycznych. O 16.15: Chór Ukraiński im. Łysenki. O 17.00: Koncert solistów (15 letni Maciej Striks). O 21.35. Koncert wieczorny w wyk. ork. P. R.

WTOREK dn. 22.VI: O godz. 19.15 Recital fortepianowy St. Szpinalskiego. O godz. 21.45 początek noweli B. Prusa p. t. „Przygoda Stasia. O 22.00: Arie i pieśni w wyk. Walentyny Walewskiej.

ŚRODA dn. 23.V: O godz. 19.00: Dziesiąta audycja z cyklu „Słynni dyrygenci" — Pierro Coppela. Godz. 20.00. „Świętojańska sobótka" — słuchowisko regionalne. Godz. 21.00: Koncert chopinowski. Godz. 21.45: Przygoda Stasia" cz. II.

CZWARTEK dn. 24.VI: O godz. 16.15 Pieśni Jana Galla i Bolesława Wallek-Walewskiego. O 21.45 „Przygoda Stasia" cz. III. O 22.00 Koncert solistów.

PIĄTEK dn. 25.VI: O godz. 21.45 „Przygoda Stasia" (dokończenie).

SOBOTA dn. 26.VI. O godz. 17.20: Pierwsze radiowe wykonanie utworów kameralnych Slinki i komp. włoskiego Boccheriniego (sonata D-dur na altówkę i fortepian.

Z PRASY:
Sejm przedłużył komisaryczny zarząd stoł. m. Warszawy do jesieni.



P. Starzyński (śpiewa).
„Nie dzisiaj, nie dzisiaj na grzybki chodzą
Jesienią, jesienią, aż się urodzą....

Redaktor odp. Antoni Szperlich. Redaktor Jan Rembieliński Kierownik działu literackiego Stanisław Miłaszewski.
Wydawca: Publicystyczna Spółka Wydawnicza, S. z o. o.
7361 DRUKARNIA GOSPODARCZA, WARSZAWA, AL. JEROZOLIMSKIE 79. TEL. 8-84-12, 8-28-02.